

WITOLD BEREŚ i KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1989

TYLKO NIE O POLITYCE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 449

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0117-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

WITOLD BEREŚ i KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

WYWIADY „PROMIENISTYCH”

—

**WYWIADY Z TWÓRCAMI I KIEROWNIKAMI
POLIGRAFII „TYGODNIKA MAZOWSZE”**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1989

WYWIADY „PROMIENISTYCH”

OD AUTORÓW

W październiku 1982 roku (kiedyż to było!), ukazał się w Krakowie pierwszy numer dwutygodnika *Promieniści*, nisko-nakładowego, drukowanego dość prymitywną techniką pisma, przeznaczonego dla młodzieży szkół średnich. Zresztą w początkowym okresie pismo było w dużej mierze redagowane przez tych właśnie czytelników i nic dziwnego, że przeważały wówczas materiały samokształceniowe oraz bieżące informacje.

Ale w miarę jak pismu (oraz rzecz jasna jego autorom i czytelnikom) zaczynało przybywać lat, nie tylko poprawiała się jego technika druku, zmieniał format i zwiększał nakład, ale — co ważniejsze — wyraźnie zaczął się również zmieniać profil *Promienistych*.

W końcu, po trzech latach, w stałym i do dziś oscylującym wokół trzech tysięcy nakładzie, dwutygodnik przyjął dzisiejszą formę „pisma studentów i młodej inteligencji”. Od tego czasu *Promieniści* starają się być pismem bardziej dziennikarskim i informacyjnym niż oświatowym, raczej kładącym nacisk na aktualność niż na analizy politologiczne (do tego typu prasy nawiązuje też gazetowy format, niespotykany w prasie niezależnej), ale też nie zapomina o problemach młodzieży i tematyce kulturalnej.

Jak można się zorientować z charakteru wywiadów, które wybraliśmy, pochodzą one głównie z „dziennikarskiego” okresu pisma, choć nie wszystkie były już publikowane — również z tego względu, iż przeprowadzane były z myślą o włączeniu ich do niniejszego wyboru.

Jaki klucz przyświecał takiemu, a nie innemu doborowi nazwisk i tematów? Jeden ze znajomych powiedział nam żartem, że „załatuje tu korowszczyznę”. Cieszylibyśmy się z tego, choć akurat nie tym się kierowaliśmy. Chcieliśmy po prostu z ludź-

mi, których bardzo wysoko cenimy (niestety nie udało się z wszystkimi) wreszcie porozmawiać nie o polityce. Pomówić o ich życiu osobistym, o ich zainteresowaniach, o ich „innym obliczu”, trochę powspominać anegdoty i wreszcie wyciągnąć z nich jakieś plotki. Oczywiście, nie zawsze się to udało — na przykład Jacek Kuroń co rusz chciał omawiać „bieżące zadania rewolucji” (to żart oczywiście). Okazywało się zresztą, że takie pozornie „neutralne” tematy jak ekologia, jak wszystko związane w PRL z polityką, stają się nagle pasjonującym komentarzem do aktualnych wydarzeń (tak było z rozmową z Krystianem Waksmundzkim, która ukazała się akurat w chwili katastrofy w Czarnobylu).

Co jednak ciekawe, dla wielu naszych rozmówców dopiero hasło „tylko nie o polityce” stawało się zachętą do rozmowy. Niewykluczone, że wszyscy jesteśmy przesyleni problemami dnia dzisiejszego i przydałaby się na odtrutkę choć mała dawka codzienności, małych słów i małych liter.

Z B Y S Z E K

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM BUJAKIEM

Kiedy w Milanówku pod Warszawą zapytać o ul. Wysoką nr 5, przechodnie bezradnie rozkładają ręce i zaraz rezolutnie pytają — wiadoma rzecz, znają się tu wszyscy — o kogo chodzi. Ale nazwisko „Bujak” wpływa na nich w sposób niezrozumiały: niespodziewanie twarze tępieją, co niektórzy zarzekają się, że oni „o takim nazwisku, to nigdy...”, a pewien starszawy jegomość tuż po uczynieniu powyższej deklaracji dodaje szybko, patrząc na nas dziwnie:

— Ale daję słowo, że on tu na pewno nie mieszka...

W pewnym sensie mówił prawdę. Poszukiwany adres znajduje się dokładnie za tablicą z napisem „Milanówek. Koniec”.

Za pomalowanym na żółto płotkiem — rozbabrany domek jednorodzinny. Zdecydowanie nie wygląda na willę prawdziwego działacza. Tu wysypyany piach, tam betoniarka, tu cement — wyraźnie coś się remontuje.

Zbyszek wygląda dokładnie tak, jak jeszcze niedawno wyobrażaliśmy sobie ukrywającego się działacza Solidarności: koszula bez krawata, spodnie robocze, ręce w smarach, twarz dla niepoznaki przysypana tynkiem.

— O nie, nie. Żadnych wywiadów. Mam teraz w domu hydraulika i zupełnie nie mam czasu.

O nie, nie. Nie po to przyjechaliśmy z Krakowa — jak by nie było stolicy Polski — do jakiegoś Milanówka, żeby teraz...

Kiedy już siedzimy w pokoju, ukradkiem rozglądamy się wokół, a kiedy Zbyszek idzie na chwilę uspokoić fachowca, robimy to już znacznie bezczelniej.

Najbardziej rzuca się w oko okazała fotka senatora Kennedy'ego z wyraźną dedykacją: „Z największymi wyrazami podziwu i szacunku oraz z nadzieją rychłego spotkania”.

Książki. M.in. album „4XParыз”, Mandelsztam z WL-u, „Historia Rosji”, Sienkiewicz. Ale skąd tu też „Bhagavadgita”?

W prawym kącie pokoju zestaw majsterkowicza „Black Decker”, w lewym kolorowy telewizor Siemens.

Wchodzi Zbyszek:

— Mamy tylko pół godziny czasu.

— Słuchaj, wchodzimy tu, rozglądamy się, domek w porządku, ale jeszcze nie ma basenu. Co to znaczy?

— Jeszcze nie ma. — Zbyszek to gość z refleksem. — Ale wkrótce wkopię beczkę w ogródku, to będzie mój basen.

Śmiejemy się.

— Co robisz i kim jesteś, to wiemy, ale jak żyjesz oprócz tego? Niestety widzimy, że nie ma żony w domu. Szkoda, przeprowadzilibyśmy małą konfrontację.

— Co by tu powiedzieć? Na razie jest to dom, w którym przez ponad pięć lat nic się nie działo, bo nie było gospodarza. Więc po prostu mam teraz ciągle robotę, robotę, jeszcze raz robotę.

— Do Ursusa cię nie przyjęli?

— Nie.

— Wobec tego będziesz się starał o jakąś inną pracę.

— Zgłosiłem się do „1 maja” w Pruszkowie, gdzie w związku z tym, że miałem skierowanie z wydziału zatrudnienia, wpuszczono mnie nawet na teren zakładu. Ale za chwilę już był o to raban. Powiedziano mi, że nie będę przyjęty i odesłano na bramę.

— W tym momencie każdy chce wiedzieć, z czego żyje opozycja. Jak więc dajecie sobie radę?

— Żona pracuje, teściowa zarabia, a ja dostaję na razie związkową pensję, której wolałbym wprawdzie nie brać, ale dopóki nie uruchomię jakiegoś własnego warsztatu, z którego będę mógł żyć, no to...

— A w jakiej branży?

— Nic na pewno jeszcze nie wiem. Ale mam pomysł, żeby robić szachy turniejowe. Dowiedziałem się w Polskim Związku Szachowym, że w Polsce brakuje szachownic, ładnych, drewnianych, dobrze zrobionych. Nawet międzynarodowe turnieje gra się na tekturowych szachownicach, a że lubię pracować w drewnie, więc myślę, że to wybiorę. Tym bardziej, że o kilka metrów sześciennych drewna nietrudno... W mojej branży, elektrycznej, wolałbym niczego nie robić, bo tam zbyt wiele materiałów trzeba

by kupować na lewo, kombinować. A na tym można się przejechać.

— To ty jesteś złota rączka? Wszystko robisz sam? Remoniki, malowania...

— Co dam radę, to robię, ale niektórych rzeczy wolałbym się nie podejmować. Właśnie przyszedł hydraulik, któremu muszę pomóc, bo chcę skończyć łazienkę.

— Co będzie? Kafelki?

— Tak, kafelki.

— Hiszpańskie, włoskie?

— Nie (*śmieje się*). Polskie. Polskie, zwykłe kafelki. Ale sam będę wykańczał łazienkę w drewnie.

— A żona pracuje w...

— W „Ursusie”.

— Szkoda, że jej nie ma, bo chcieliśmy jej spytać... Albo ty nam powiedz: pomagasz w domu? Gotujesz, sprzątasz, zamiatasz, robisz zakupy?

— Rzadko, rzadko.

— I nie buntuje się żona? (*Zbyszek śmieje się*).

— Czasami mnie wysyła po coś, czasami coś muszę ugotować, czasami coś muszę kupić.

— A ten trabancik, który stoi przed domem — to twój?

— Nie, hydraulika (*śmieje się*). Ja nie mam wozu.

— Niedyskretne pytanie: wiemy, co Adam Michnik zrobił z nagrodą. A ty?

— Ja... to jest połączona inwestycja. Z jednej strony chcemy przyłożyć się do założenia w samym Ursusie, osiedlu, trzech fundacji. No może dwóch, do których ja się przyłożę. Na to częściowo przeznaczam nagrodę. Uważam, że te pieniądze powinny zacząć przynosić kolejne pieniądze i w związku z tym zamierzam wraz ze Zbyszkim Janasem uruchomić spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, która będzie przynosić dochody, a później zamierzam część udziałów z tej spółki przekazać którejś z fundacji — jeżeli pozwolą mi ją założyć. W tej chwili projekt jednej fundacji, fundacji pomocy rodzinom wielodzietnym, jest złożony u ministra Zdrowia i Opieki Społecznej i czekam na odpowiedź.

— Kto jest założycielem? Ty i...

— Ja, Zbyszek Janas i Hanka Pomorska.

— To będzie fundacja im. Zbigniewa Bujaka i Zbyszka Janasa? Złota tabliczka z nazwiskami nad wejściem do budynku?

— Nie, nie. Nic z tych rzeczy.

— A druga inicjatywa?

— Druga fundacja będzie fundacją na rzecz zdrowia. Chodzi

o to, żeby uruchomić zespół własnych gabinetów i przychodni lekarskich na osiedlu Ursus, o profilu dostosowanym do potrzeb załogi Ursusa. Wiadomo, jakie tam są problemy, wiadomo czemu zakładowa służba zdrowia nie jest w stanie im sprostać. To jest większe, trudniejsze, ale...

— Jak ty zdążasz? Biegasz tu i tam: przyjęcia, zebrania, rauty, hydraulik i jeszcze tacy jak my...

— Nie zdążam.

— Jak wygląda twój dzień?

— O tyle regularnie, że około 12-tej idę spać, koło 7-mej wstaję i szybko robię w domu to, co zdążę. Potem lecę za tymi związkowymi sprawami, a potem jeszcze jakieś spotkanie zaliczam wieczorem.

— Czy SB daje ci spokój?

— Tak. Przed 1 maja próbowali mnie wziąć, ale mnie nie było.

— A czy próbowali wywierać naciski na twoich najbliższych?

— Na razie nie. Byli tylko przed 1 maja uprzedzić teściową, żeby wpłynęła na mnie, bym nie wdawał się w te sprawy.

— Jasne, teściowej trzeba słuchać. A jak odnoszą się do twojej żony koleżanki z pracy i dawni znajomi?

— Dobrze, nie ma żadnych zahamowań ani lęków. Pod tym względem i w rodzinie, i wśród znajomych jest normalnie.

— Z twoimi dawnymi kumplami nie urwały się kontakty?

— Nie. Chociaż brak czasu na takie spotkania towarzyskie, jakie dawniej były, ale od czasu do czasu jakieś spotkanie robimy i wtedy nie ma żadnego problemu. Co do wódki... Tzw. księżycowy czy innej nie piję — szkodzi mi, choruję natychmiast.

— Ale nie wzbranasz się od alkoholu?

— Nie, absolutnie nie. Lubię wszystkie czyste, ale raczej z sokiem grejpfrutowym czy innym „dzusem”.

— Koktaile?

— Tak. Zostałem rozpuszczony przez gospodarzy...

— ...rautów w zagranicznych ambasadach.

— Nie. Mieszkań, w których się ukrywałem. Każdy wystawił to, co miał najlepszego i w ten sposób zacząłem cenić różne whisky, koniaki, brandy, likiery. I rozpoznawać.

— A jak z tym jest w ambasadach? Dobrze karmią?

— *(śmieje się)* Bardzo różnie. Czasami umięją się postawić — np. Francuzi potrafili dać pasztet z gęsich wątrobek — ale czasami jest tylko herbata i jakieś ciasteczka.

— Na przyjęcia chodzisz w garniturze?

— Mam jeden bardzo elegancki i luksusowy, który został mi częściowo ufundowany przez warszawskich krawców po to, żeby się nie musieli wstydzić swojego przedstawiciela. Oni zresztą powiedzieli, że to tradycja rzemiosła, że w czasie drugiej wojny światowej pomagali konspiracji, więc oczywiście teraz też nie mogą być gorsi. I w ten sposób mam garnitur.

— Lubisz chodzić w garniturze?

— W każdym razie krawatu nie zakładam i koszuli nie dopinam...

— Może dlatego, że przytyłeś przez te parę ostatnich lat na opozycyjnym wikcie.

— Ale ostatnio trochę schudłem (*śmieje się*). Rzeczywiście, poprzednia, „siedząca” praca nie służyła mi zbyt. Przytyłem natychmiast 10 kilo.

— Co więc lubisz jeść? Pochwal się...

— Lubię jeść ryby przyrządzone na wszystkie sposoby: i wędzone, i świeże, i marynowane, i w occie, i w galarecie. Czasami robię sam. Zdarzyło mi się kiedyś mieszkać w domu, którego gospodyni bardzo chciała mi coś ugotować, ale nie umiała. Kiedy powiedziałem, że lubię ryby, przez pięć kolejnych dni na śniadanie miałem wędzoną rybę, tak że ostatniego dnia dyskretnie ją podrzuciłem kotkom na podwórku. Lubię różne pieczenie — właśnie tam się smaży (*pokazuje na kuchnię*).

— To znaczy ty ją smażyysz. Masz zatem i zacięcie kulinarne.

— Ba, uważam nawet, że jak się za coś wezmę, to już dobrze robię.

— Skromniaczek (*śmieje się*). To za jakie wobec tego danie nosisz żonę na rękach?

— Wacia robi świetne ciasta: murzynki, wu-zetki z kremem. I świetny blok, dużo lepszy od bloku Pomorskiego.

— Co to jest blok Pomorskiego?

— Pomorski to jest taka firma cukiernicza w Milanówku, która robi chyba najlepsze krówki w świecie; sprzedał nawet licencję Niemcom, o czym pisano dużo w gazetach, nie zastanawiając się jednak, jak to jest, że prywatny człowiek ma licencję dla Niemców, a państwo — nie.

— Krążyły w czasie twojego ukrywania się różne plotki na temat twoich wyjazdów w „teren”, dosłownie wszędzie. Kiedyś w pociągu słyszałem, jak jeden z pasażerów chwalił się, że mu się przedstawiłeś gdzieś w zapadłej dziurze. Taki solidarnościowy Harun al-Raszyd...

— To ostatnie akurat jest nieprawdą. Nigdy w takich przypadkowych sytuacjach się nie przedstawiałem i nie przedstawiam, a nawet cieszę mnie, gdy ktoś mnie nie rozpoznaje. Zdarza mi

się czasami, choć bardzo rzadko, że komuś się to uda. Wtedy powstają dziwne, niezręczne sytuacje. Na przykład kiedyś jechałem w pociągu na Śląsk, na Barbórkę czy na 16 grudnia — już nie pamiętam — i ustąpiłem miejsca jakiejś kobiecie. Ona usiadła i siedzi, siedzi, patrzy na mnie, wreszcie błysk w oku, zrywa się i mówi: „Proszę usiąść”. Ja: „Nie, dziękuję, proszę siedzieć”. Ona: „Nie — proszę usiąść”. I natychmiast popchnęła mnie na to miejsce. Więc ja usiadłem, a ona jeszcze wyjęła jabłko, podała mi je. Cała była w paskach, nic nie mówiła, ja też nic, jabłko zjadłem. Stała jeszcze przez dwa przystanki, a ja się czułem podle, bo wszyscy na mnie patrzyli i nikt nie rozumiał, o co chodzi. Dlaczego jakaś starsza ode mnie kobieta odstępuje mi miejsce i jeszcze w dodatku częstuje jabłkiem.

— Czy miałeś jakąś przygodę mrozącą krew w żyłach, typu: esbek Cię rozpoznaje, ty uciekasz, walisz go z kopyta...

— Ale kiedy, kiedy?

— Gdy się ukrywałeś.

— Owszem, zdarzało się, ale...

— Nie wykręcaj się. Mógłbyś o którejś z nich opowiedzieć?

— Jedna jest znana.

— Z „Konspiracy” (w znanej książce Macieja Łopińskiego, Marcina Moskita i Mariusza Wilka „Konspira” Zbigniew Bujak wspomina, że w pierwszych miesiącach 1983 roku do jednego z warszawskich mieszkań, w którym odbywało się spotkanie działaczy podziemia wkroczyli funkcjonariusze SB. Poprosili o dokumenty, po czym zabrali obecnych „do wyjaśnienia”. SB nie zorientowała się, że ma w swoich rękach samego szefa Regionu „Mazowsze”. Bujaka poddano w areszcie śledczym na ulicy Rakowieckiej rutynowemu przesłuchaniu i zdecydowano się na przeszukanie mieszkania, w którym według „lewego” dowodu był zameldowany. Milicyjna ekipa wraz z zatrzymanym udała się pod wskazany adres. Gdy przechodzono z samochodu do rzeczonoego lokalu, Zbyszkowi udało się zbiec; szczegóły — „Konspira”, str. 121-122).

— Tak, z „Konspiracy”. A inne sytuacje były mało „sensacyjne”. Różne przypadkowe wejścia milicji, która pytała „co się tu dzieje?”, bo sąsiedzi się co nieco skarżyli, a właściwie donieśli, że „tu cudzoziemcy bywają”. Gospodarz rzeczywiście pracował gdzieś w handlu zagranicznym i czasem odwiedzali go obcokrajowcy. Ale to nie były niebezpieczne historie. Raczej zabawne. Na przykład ostatnio, przed 1 maja, kiedy ze Zbyszkim Janasem załatwialiśmy różne sprawy związkowe i namierzono jego samochód. Gdy wsiadaliśmy, podszedł facet, pokazał legitymację, Służba Bezpieczeństwa, poproszę o dowody — mówi i próbuje mnie

złapać za ramię. Ja na to: zaraz, zaraz i... chodu. Uciekałem wzdłuż parkingu, który tak lekko zakręcał i...

— Kiedy to było? W tym roku?

— Tak, teraz przed 1 maja. Oglądam się, a za mną mały fiat. Gonią mnie, a więc szybciej, szybciej, szybciej. Maluch cały czas za mną. Myślę: nie dam rady, trzeba gdzieś w bok skoczyć, między bloki. Mijam akurat dłuższy dom, odbijam w bok, jeszcze większa szpula, a mały fiat... spokojnie pojechał dalej, zatrzymał się, ktoś wysiadł — w ogóle mnie nie gonili. Później Zbyszek śmiał się z tych ubeków, mówił: no i co, złapaliście mnie i myślicie, że to sukces...

— Rzeczywiście jesteś taki sprawny fizycznie po tych komandosach? (Zbigniew Bujak odbywał zasadniczą służbę wojskową w wojskach powietrzno-desantowych). Taki King Bruce Lee?

— Nie, nic z tych rzeczy, to są legendy. Czasami jest to sprawa decyzji, że teraz uciekam, że już, w tym momencie — co jest dość trudne. Jak mnie wtedy wieźli, w '83-cim, to okazało się, że podjąć decyzję, iż właśnie teraz trzeba wiać było dość ciężko. Zawsze człowiek liczy: a może za chwilę, a może się nie zorientują, może puszcza, może zostawia. Zawsze czeka na cud. A tu nie ma co zdawać się na cud, tylko trzeba liczyć na własne nogi. A służba w komandosach, w desancie pomogła mi o tyle, że gdy widzę, iż w tym a nie innym momencie trzeba podjąć decyzję, to ją podejmuję. I to mi wychodzi. Zawsze jest przecież element zaskoczenia. W tym właśnie pomaga desant, a zwłaszcza skok ze spadochronem, bo tam otwierają się drzwi, w dole 600 metrów powietrza i trzeba w te drzwi skoczyć. Taką decyzję podejmuje się za każdym razem w stresie, w strachu. W rezultacie człowiek przyzwyczaja się, że jak trzeba to trzeba.

— Nie bałeś się czasami przez te pięć lat?

— Nie, bo to jest tak, że gdzieś mieszkasz, wiesz, że bezpieka o tobie nie wie i w związku z tym masz ogromne poczucie bezpieczeństwa. Koledzy, którzy nie zostali internowani, którzy mieszkali w swoich domach, reagowali na każdy dzwonek. Na każdy odgłos zatrzymującego się pod domem samochodu natychmiast wstawali, podchodzili do okna, patrzyli kto itd., bo wiedzieli, że mieszkają u siebie i w każdej chwili mogą po nich przyjść. Ja natomiast tego poczucia nie miałem. Wiedziałem, że jak wejdą, to tylko raz. Wejdą, zabiorą i koniec, po problemie. Wobec tego w ogóle nie ma się czym przejmować. Miałem bardzo, bardzo spokojne życie.

— A co ci przeszkadzało?

— Izolacja. Fakt, że chodzisz — bo normalnie po mieście

jeździłem tramwajami, autobusami — więc jedziesz i myślisz: tu Adaś, ale nie wejde, tu Jacek — nie wejde, tu J. J. Lipski, tu rodzina, tu siostra, tu coś. I za każdym razem ja tam nie mogę...

— Jak myślisz, czy nie zaszkodziły ci te lata pod ziemią? Nie uderzyło ci do głowy poczucie, że jesteś wodzem? Byłeś przecież jednym z ważniejszych gości w PRL-u.

— Nie, na szczęście chyba nie. To akurat jest rzecz dla ludzi zaangażowanych. A jak normalnie jesteś w zwykłym towarzystwie, to czegoś takiego nie ma. W ogóle w Polsce ludzie nie zachwycają się jakimiś wymyślonymi „gwiazdoram”.

— Czyżby?

— Tak. Ja przynajmniej się z tym nie spotykałem. Ludzie nie reagują „och, Bujak”. Na szczęście.

— Jakie widzisz u siebie wady? Umiesz sam na siebie spojrzeć? Jesteś, jak widzimy, dość uparty.

— No, tylko czy to jest wada... W różnych sytuacjach — może być... Co mi brakuje? Słuchajcie, jak patrzę na Czeška Bieleckiego, to ma on coś, czego nie mam i poczytuję to sobie za wielką wadę. Mianowicie ma on ogromną wewnętrzną dyscyplinę, która mu pozwala pokonywać różne swoje słabości, pozwoliła mu się w ogóle wybić. On ma swoją architektoniczną spółkę z o.o., robi projekty i prowadzi to bardzo dobrze, jest publicystą, sporo pisze i nie są to złe rzeczy, a pisanie wymaga sporo czasu, był organizatorem wydawnictwa CDN, ogromne wydawnictwo, mnóstwo książek, to wymaga sporo czasu. Do tego bywa na różnych spotkaniach, znajduje na to wszystko czas (i jeszcze życie rodzinne). A to wszystko dzięki dyscyplinie wewnętrznej i znakomitej organizacji czasu. Ja tego nie mam. Żeby usiąść do pisania, muszę mieć pół godziny czasu.

— A jakie masz zainteresowania, poza majsterkowaniem oczywiście? Czytasz, oglądasz telewizję, ryby łowisz?

— (*śmieje się*) Ryb już teraz nie. Kiedyś je hodowałem, teraz tylko jem. Lubię grzyby — zbierać, obierać, przyrządzać, no i jeść. Niedawno przyrządzałem trującą piestrzenicę brunatną... Jakoś nikomu nie zaszkodziło (*śmiejemy się*). Jeśli więc chodzi o ciekawe grzyby, których byś nigdy nie zjadł, to u mnie możesz je zawsze zjeść, będą na pewno bardzo dobre. Nie mówię już o piestrzenicach, bo to akurat znany grzyb dla grzybiarzy. Ale przyrządzałem już np. muchomory...

— Kto zjadł pierwszy kęs?

— Ja. Zawsze ja. Proponuję też grzyba, którego zbiera mało kto, ale który jest rewelacyjny: purchawkę. Tak, ta zwykła biała purchawka, ale zbierana wtedy, gdy jeszcze jest biała i

jeszcze nie „dymi”. I nawet nie jest to jeszcze puch, ale twarda biała kulka. Znakomity grzyb (z *przejęciem*). Rewelacyjny.

— Sprawdzian wiadomości: data ślubu?

— 27 sierpnia '77 roku. Stare rzeczy, ale pamiętam. Bo wiesz — ja cztery lata za Wacią chodziłem, żeby została moją żoną, więc jak to się wreszcie stało, to zapamiętałem do dziś...

— Pierwsza miłość...

— Tak, żona to moja pierwsza i ostatnia miłość.

— Z którego jesteś miesiąca?

— Z listopada. Dzień powstańczy — 29 listopada. Znak

— Strzelec.

— A dokąd jeździecie na wakacje?

— W różne miejsca. Zwykle na grzyby.

— A za granicę?

— Byłem tylko z delegacją związkową — raz w Japonii, raz w Niemczech. A tak to wyjechaliśmy sobie z żoną jeszcze dawnymi czasy na Węgry na Sylwestra i raz bodajże do NRD.

— A gdzie chciałbyś pojechać?

— Cały czas myślę o tym, żeby pojechać do Sacharowa. Wystąpię w odpowiednim momencie, spróbuję załapać się na jakąś wycieczkę. Zobaczę, czy mnie puszczą.

— Czy przez te pięć lat ukrywania się jeździłeś gdzieś na wakacje?

— Jeździłem, jeździłem. Bez tego by się nie dało. W okresie stanu wojennego siedzieliśmy ciągle nad tyłoma sprawami... I w pewnym momencie było już widać po ludziach, że muszą wyjechać, bo dostaną fioła; czy ja, czy Konrad, czy Wiktor, czy Ewa. I wyjeżdżali...

— A co masz z tzw. rzeczy luksusowych, którymi mógłbyś kłuć w oczy?

— Mam telewizor Siemens. To prezent od jednego z gospodarzy z okresu „podziemnego”, który miał 2 telewizory, jeden sprzedawał i po bardzo obniżonej cenie mi sprzedał.

— Zachodnią pralkę automatyczną?

— Nie, nie mamy. Zwykłą „Franię” wirnikową. Co jeszcze? Mam pióro wieczne MontBlanc, też prezent od jednej gospodyni. Zestaw narzędzi Black and Decker. Dobrze się nimi pracuje — nie powiem. No, jeszcze dosyć luksusowe biurko. Jedyne, co chciałbym mieć dość luksusowego, to ekstra-łazienkę. Musi jakoś wyglądać.

— Nie byłaby ta prywatna rozmowa pełną, gdybyśmy chociaż nie zapytali, co widzisz w przyszłości dla siebie i dla nas wszystkich.

— Mam świadomość, że my — szeroko pojęta opozycja —

jesteśmy o tyle w czepku urodzeni, że tę całą batalię o demokrację wygramy, że to mamy pewne. Jest to tylko kwestią czasu. Mam jednak również świadomość, że jedna z największych rzeczy, w której uczestniczyłem — Solidarność — jest w wielkich kłopotach. Ale jestem pewien, że przeciągniemy ją przez ten okres. To jest dla mnie perspektywa paru lat.

— Czy nie boisz się czasami, że żyjesz w getcie, w kręgu własnych znajomych? W akwarium?

— Mam wrażenie, że to jest bardzo duże getto. Tak duże, że nie widać jego granic. Kiedy się w nim obracam, to widzę, że jak ogromną ilością różnych ludzi ma się tu do czynienia. To nie jest tak, że to jakaś określona kategoria. To rzeczywiście są wszyscy. Znajdziesz wciąż masę robotników, różnej inteligencji. Są wszyscy. O to jestem spokojny.

— Dobrze. My jakoś bardziej czarno to widzimy, ale — słabsi jesteśmy. Czy uważasz się za polityka?

— Chciałbym nim być, ale jeszcze dużo mi brakuje do tego.

— Nie boisz się tego?

— Nie, uważam, że jest to jedna z bardzo ważnych dziedzin życia.

— Cóż, będziemy kończyć już tę rozmowę. I tak zabraliśmy ci za dużo czasu, a hydraulicy nie lubią czekać. Nie przeszkadzamy ci zatem i dziękujemy.

Wstajemy i zapalamy papierosa. Zbyszek odmawia. „Podobno szkodzą na potencję” — śmieje się i mruży porozumiewawczo oko. Kiedy już wychodzimy, wyraźnie nie może się czymś jeszcze nie pochwalić. Zwykłe, kuchenne meble. Dość przyjemne, ale w niczym nie odbiegające od innych. To „w niczym” jest akurat komplementem — Zbyszek zrobił te meble sam. Idziemy już, bo rzeczywiście woła go hydraulik.

Maj 1987

Fragmenty z *Promienistych* nr 17 (93), 25 maja 1987.

TRZYDZIEŚCI MINUT NA GODZINĘ

ROZMOWA Z JACKIEM FEDOROWICZEM

Sobota, późny wieczór. Jeden z krakowskich akademików, pokój 1064. W chwilę po spotkaniu zorganizowanym przy Misjonarzach w Miasteczku Studenckim w Krakowie. Tuż przed następną imprezą, która ma mieć miejsce „Pod Baranami”. Jacek Fedorowicz ma niewiele czasu.

— Tylko pół godziny.

Nie dziwota, że tylko tyle. Wygląda na to, że żyje na walizkach. Rozglądam się. Rozesłane łóżko, na podłodze bagaże, na stole maszynopis tekstu o kol. Kierowniku (z licznymi poprawkami). Ogólnie bałagan. Zresztą, już fakt, że mieszka w akademiku, a nie w „Holiday Inn”, pod który podjeżdżałby Fiatem Mirafiori, jest dziwny, ale i sympatyczny. Jak się do niego zwracać, by nie przegiąć pały? Wybieram coś pośredniego między ty, wy, pan i obywatel. „Fedor” ma ucho wyculone.

— Mówimy per „pan”, czy per „ty”?

Wyciągam Grundiga. Jacek robi wielkie oczy, widząc ten cud techniki — chociaż wspominał, jak ważny jest dobry sprzęt. Doświadczenie radiowca każe mu mówić bardzo blisko mikrofonu. Pijemy tonic. Startuję:

— Stereotyp nakazuje, aby satyryk był ciągle uśmiechniętym facetem, „duszą towarzystwa”, gościem wytrzępującym z rękawa setki dowcipów na każdą okazję. Ty podobno jesteś całkiem inny.

— Rzeczywiście nie jestem człowiekiem, który rzuca dowcipy w każdej sytuacji na lewo i prawo.

— Czy często w towarzystwie, na jakichś imieninach czy

innej imprezie, prosi Cię ktoś o opowiedzenie kawału? Przyjaciele wiedzą, jaki jesteś...

— Tak, przyjaciele wiedzą. Ale ci, którzy mnie nie znają, rzeczywiście czegoś takiego oczekują. Jest mi bardzo przykro, że muszę ich rozczarować. W latach 60-tych występowałem w telewizji i trochę przyzwyczailem ludzi do swojego wizerunku, do takiego gadatliwego faceta, który ciągle coś musi mówić. Taką miałem rolę i taki obraz pozostał. Jestem zaś z natury refleksyjny i małomówny, co oczywiście nie oznacza, że jestem ponurakiem.

— Jak wobec tego powstają Twoje teksty?

— Bardzo różnie. Inaczej powstają teksty, które mają być wydrukowane, a inaczej te, które mają być wygłoszone przed publicznością. To znaczy: te, które muszą wywoływać głośny śmiech, i te, które nie muszą. Wolę pisać te ostatnie. Nie muszę myśleć o wywoływaniu reakcji, mogę się skupić na relacjonowaniu przemyśleń.

— Ale ludzie częściej wybuchają śmiechem, kiedy opowiadasz historyjki z kol. Kierownikiem w roli głównej...

— O, tak. Dlatego przeplatam felietony „kolegą Kierownikiem” — po to, by rozbawić publiczność, która czeka, by od czasu do czasu powiedzieć coś śmiesznego. Nieraz wtrącam więc jakieś zabawne zdania, czy przykłady, choć rozwała mi to wypowiedź. Nie psuje, ale...

— Teksty powstają w bólach?

— Jeżeli mogę powiedzieć, że moje teksty powstają w bólach, to w bólach porodowych. To znaczy, jak się już coś w końcu urodzi, to sprawia wielką satysfakcję.

— Występujesz teraz przeważnie w kościołach. Czy mecenat ten Cię nie ogranicza? Czy nie jest swoistą cenzurą? Nie można przecież używać mocnych słów, poruszać pewnych tematów.

— Przez te wszystkie lata wyrobiłem sobie na szczęście taką sytuację, że nie muszę szukać na siłę publiczności. Nie muszę więc używać soczystych, okraszanych dowcipów, po których wszyscy muszą wybuchnąć śmiechem. Po prostu nie ma takich tekstów, których nie mógłbym wygłosić w kościele. Powiedziałem „w kościele”, choć zwykle, zwłaszcza ostatnio, staram się nie występować w kościołach jako takich, ale stawiam warunek, aby odbywało się to gdzieś poza nimi — w salkach katechetycznych czy w innych lokalach przy kościele. Coraz częściej powstają zresztą różnego rodzaju domy katolickie, będące znakomitą przeciwwagą dla państwowych domów kultury. Staram się także występować w innych miejscach, na przykład w ośrodkach studenckich.

— Czy zwracał się do Ciebie ktoś z radia lub telewizji z propozycją powrotu?

— Wprost nikt się do mnie nie zwrócił, ale... Wiesz, ta władza, jeżeli chce na przykład dać komuś odznaczenie, to najpierw dzwoni do niego i pyta, czy to odznaczenie przyjmie. Dopiero po takim upewnieniu się uchwała przyznanie medalu. W moim wypadku było podobnie. Tu i ówdzie sondowano, czy byłbym skłonny wystąpić.

— I wizja pracy w radiu nie skusiła Cię? Przecież takie życie jak teraz prowadzisz — cały czas na walizkach, w brudnych, zatłoczonych i ciągle spóźniających się pociągach, nie należy do najprzyjemniejszych. A jeśli dodać do tego fakt, że występujesz dla swoistego getta, ciągle tych samych ludzi, którzy swoje już wiedzą i idą na Fedorowicza, bo wiedzą, że „dopiero dopiero przy czerwonym” — to taka sytuacja nie jest chyba w sumie zbyt satysfakcjonująca.

— Co do pierwszego zarzutu, to się z nim nie zgadzam. Od dawna żyłem na walizkach, w podróży, przyzwyczailem się do tego i to mi odpowiada.

— Lubisz to...

— Lubię. Co do drugiej sprawy: masz absolutną rację. Faktycznie obracam się w pewnym getcie. A mam wielką ochotę wystąpić przed ludźmi, którzy nie zgadzaliby się ze mną. Chciałbym stanąć twarzą w twarz z kimś, kto by mi coś zarzucił. A że nie jestem całkiem tępy facetem, to próbowałbym mu coś odpowiedzieć.

Zaś powrót do radia... Mógłbym tam powrócić, ale to nie byłbym już ja. Bo ja jestem dzięki temu, co myślę, a tam musiałbym myśleć trochę inaczej.

— Jednak niektórzy znani satyrycy powrócili. Kaczmarek, Pietrzak, Młynarski próbują coś robić. Jak ich oceniasz?

— Oceniam ich wyłącznie pod względem artystycznym. I jeśli robią coś dobrego, to bardzo dobrze. Natomiast fakt, że robią coś w radiu czy też w telewizji jest mi obojętny. Bo to, że ja tam nic nie robię jest moją osobistą sprawą i moją osobistą decyzją. Nie mogę wymagać od innych, by także nie występowali.

— Powracając do problemu getta i spraw z nim związanych. Mówisz, że chciałbyś się z niego wyzwolić, ale czy przypadkiem występujący w Twoich tekstach tak silnie podział „my — oni” nie pogłębia owego getta?

— Oczywiście boję się takiego bezdyskusyjnego przeciwstawiania „my — oni”. Ostatnio staram się ten obraz jakoś cieniować. W jednym z ostatnich felietonów mówię wręcz, że istnieją ludzie (i że jest ich bardzo wielu), którzy jednocześnie

nie lubią i Urbana i Fedorowicza. Pierwszego za to, że kłamie, drugiego za to, że podskakuje i przez to podskakiwanie może sprowadzić na nas nieszczęście.

— A dlaczego nie ośmieszasz opozycji? Tutaj przecież jest też sporo nawiedzonych gości, także niektóre mechanizmy i zwyczaje są warte krytyki. Czy nie zauważyłeś, że jesteś uważany za sztandarowego satyryka Solidarności — to chyba nie najlepsza sytuacja?

— Próbowałem zająć się opozycją, ale jak dotąd, wszystkie teksty, jakie z tą myślą pisałem, mogłyby — w taki czy inny sposób — być wykorzystane przez władze. A tego nie chciałem. Ale może i tutaj coś mi wyjdzie.

— Jest jeszcze jeden spory pakiet pytań, którego pominąć nie sposób. Jacek Fedorowicz prywatnie. Rodzina, pieniądze, samochód, zainteresowania, a nade wszystko zgubne nawyki i nałogi. To ostatnie jest szczególnie ciekawe, gdyż ponoć deklarujesz jogging miast tytoniu i alkoholu, co — gdy się przypomni Twą bezkompromisowość polityczną (patrz tekst „Cenzura”) — czyni z Ciebie szczególnie posagową postać. Czy naprawdę uważasz, że nie warto czasami — skrótowo mówiąc — „łyknąć”?

— Można czasami łyknąć. Ja niestety nie mogę, bo mam za słabą głowę. To wyklucza picie. Biegi długodystansowe (no, powiedzmy truchciki) uprawiam gnany zwyczajną ambicją. Leczę kompleks najsłabszego w klasie. Samochodu natomiast nie mam, bo nie chcę mieć, ale stać by mnie było na samochód — myślę, że już mniej posagowo się zrobiło, nie? Zgubne nawyki? Oczywiście, że mam, ale młodzieży się nie przyznam.

— Na koniec: jak wyglądać będzie kolega Kierownik w roku 2000?

— Tutaj jest pewna trudność. Kiedy próbowałem wybiegać w przyszłość, z każdym razem musiałem się w pewnym miejscu zatrzymać przy pisaniu scenariusza. Dlaczego? Bo Tadeusz Konwicki napisał „Małą Apokalipsę”. I zawsze kiedy zaczynałem pisać o przyszłości, wychodziło mi coś podobnego — w nastroju, scenerii, sytuacji — do tego, co zostało już przedstawione w „Małej Apokalipsie”.

— To będzie aż tak źle?

— Nie, czekaj! Kolega Kierownik może istnieć dopóty, dopóki istnieć będzie ta władza. Jeżeli jednak nasze dzieje potoczą się bardziej optymistycznie, to kol. Kierownik zniknie. Tę optymistyczną wersję przyszłości próbowałem przedstawić w grafikach. Spółka rozbiórkowa „Wąsęs i synowie” demontuje Pałac Kultury; Zbyszek Bujak udziela wywiadu telewizji niepod-

ległej Litwy; w kanałach ukrywają się wszyscy działacze PRON, to znaczy wszyscy trzej... i tak dalej.

— A jeżeli „nasi” przejmą władzę...

— (*przerywa*) „Nasi” nie przejmą władzy. Dążyliśmy i dążymy do sytuacji, w której możliwe będą wolne wybory. Solidarność nigdy nie chciała przejąć władzy. Władza zostanie wybrana demokratycznie.

— Dobrze — więc władzę obejmą ludzie wybrani w demokratycznych, wolnych wyborach przez większość społeczeństwa, to czy też będziesz ich „chłostał biczem satyry”?

— Oczywiście. Należy wyśmiewać wady każdej władzy. I swoje własne.

Promieniści nr 3 (97), 23 listopada 1987.

KOPCIUSZEK

ROZMOWA Z EWĄ KULIK

Ewa jest dosyć wysoką, szczupłą blondynką. Oczy bodaj szaro-niebieskie. Sympatyczny uśmiech.

Otwiera nam w szlafroczku, co od razu pozwala nam ją wysoko ocenić. Początkowo rozmawiamy w kuchni (na stole duży kawał schabu „od baby”), później w dużym pokoju (na półkach wiele anglojęzycznych książek).

— Wywiad? Ależ ja się jeszcze nie czuję kombatantką!

Ale nie o to nam dzisiaj chodzi. Nie będzie też dziś o parach w „podziemiu” (w drzwiach mijamy się z Konradem Bielińskim). Zależy nam na wyjaśnieniu innej sprawy. Oto w 1977 roku 20-toletnia podówczas krakowianka Ewa Kulik udaje się bez namów i protekcji („tak, prosto z ulicy” — jak sama powie) pod podany na ulotce adres krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności: „Chocimska 3/3”.

Niespełna pięć lat później wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Wiktorem Kulerskim, Janem Lityńskim i Konradem Bielińskim należy do osób najbardziej poszukiwanych przez SB. Żartujemy, że wygląda to na przypadek Kopciuszka.

Jak to się stało?

— „Poważniejsza” działalność w SKS-ie zaczęła się dla mnie dopiero wtedy, kiedy jesienią '77 roku zostałam jego rzecznikiem. Po prostu formuła SKS-u nie zezwalała, aby rzecznikami byli ludzie, którzy nie studiują. A większość osób podpisujących akt powstania SKS-u, to byli ludzie z V roku, którzy już kończyli szkołę. Zaproponowano mi „rzecznikostwo”, chociaż znali mnie bardzo krótko. Zgodziłam się i tak zostało.

— Czy nie widzisz w tym czegoś dziwnego? Dlaczego się

w to wdałaś? Czy sprawa Pyjasa była dalej takim motorem napędowym?

— W tym momencie już chyba nie. Wtedy byłam po paru lekturach — przeczytałam np. Orwella „1984” — to była pierwsza moja podziemna książka. To jest tak: jak człowiek zaczyna się życiem interesować, to zaczyna też widzieć, po której stronie stoją racje. Z drugiej strony, ja wcześniej — czy to na zasadzie emocji, czy wychowania w rodzinie, która nie była partyjna — wiedziałam mniej więcej jak było przed wojną, czym się to teraz różni i po czyjej ma się być stronie. Zarazem mówiono, żeby w nic się nie angażować, ponieważ grozi to wyrzuceniem ze studiów.

— W końcu musiał nastąpić pierwszy kontakt z esbecją.

— W październiku, po rozpoczęciu roku akademickiego zaczął się cykl rewizji. Tzn. jednego dnia wskoczyli do iluś tam mieszkań, m.in. do mnie. Chrzest bojowy.

— Jak to wyglądało?

— Zadzwoń! dzwonek, ktoś wszedł. Byłam nastawiona, że skoro moje nazwisko pojawiło się na ulotce...

— To prędzej czy później muszą wejść.

— Nie, myślałam, że to przyjdzie ktoś z ulicy, jacyś studenci; tak zresztą ci SB-ecy wyglądali. Jeszcze nie miałam z nimi doświadczenia: owszem, wiedziałam, że jest taki artykuł, którym należy odpowiadać na przesłuchaniach, ale jeszcze nie wiedziałam np., jak wyglądają wezwania — które jest formalne, które nie. Ponieważ Kraków jest mały, okazało się później, że człowiek, który kierował „nalotem”, był tuż po studiach, które kończył z Bogusiem Sonikiem i był zarazem mężem koleżanki mojej koleżanki, która należała do SKS-u. To była jego pierwsza rewizja, więc denerwował się tak jak ja, albo bardziej. Wezwałam na świadka — o tym, że mogę to zrobić, już wiedziałam — sąsiadkę, która nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Taka starsza dama. Powiedziałam jej, że rewizja, że Służba Bezpieczeństwa, więc przyszła, usiadła i zasypiała, bo to dość długo trwało. Mamy nie było, właśnie wyszła, oni chyba czekali na jej wyjście. Ja wcześniej wszędzie rozповідаłam, że mama jest przeciw i wszyscy bali się do mnie przychodzić ze względu na nią. Oni chyba też... Wszystko, czego mogli szukać — kilka książek — było na wierzchu.

— Nie chcieliście chować?

— Działaliśmy jawnie, zresztą to, co się w danej chwili czytało było w domu i trudno to było trzymać gdzie indziej. Ponadto zawsze coś ci przyniosą w ostatniej chwili i coś zawsze jest w mieszkaniu. Ja dodatkowo byłam szefem biblioteki i ro-

biłam listę książek. Przez prawie cały czas przeszukania leżałam na łóżku, w którym miałam schowane ważniejsze rzeczy, bo przyniesiono mi akurat matryce powielaczowe. I na nich leżałam. Rewizja skończyła się wieczorem.

— Czy bardzo się bałaś?

— Ja mam taką nerwową reakcję na ubeków, że ziewam. Wewnętrzne dreszcze mnie przelatują i potwornie ziewam. Wyglądałam więc na kompletnie znudzoną i śpiącą. Ale to z nerwów.

— Mama nie wróciła do końca „wizyty”?

— Nie, a ja się nie przyznałam. Zostawili protokół rewizji, wszystko bardzo praworządnie. Zabrali książki, jakąś *Kulturę* i *Aneks*, jakieś maszynopisy. Kilka dni potem przyszedł mundurowy i wręczył mamie wezwanie. Trochę się zdenerwowała: milicja u mnie w domu, co sobie sąsiedzi pomyślą itd. Pobiełam z tym wezwaniem do Sonika, okazało się, że jest formalne. Poszłam zatem na przesłuchanie do komisariatu na Szeroką.

— W charakterze?

— Świadka. Niezbyt tam denerwowałam się, bo zobaczyłam, że ten ubek jest głupszy ode mnie. Było straszenie, że wyrzucą mnie ze studiów — powiedziałam, że chyba nie, bo się dobrze uczę; że mamę wyrzucą z pracy — więc ja, że mogą, bo ona ma blisko do emerytury i prawdę mówiąc ma już dość tej roboty; że ojca wyrzucą — ja, że ojciec jest na rencie, więc nie mogą; wreszcie, że brata wyrzucą — ja, że on jest kierowcą i wszędzie znajdzie pracę.

— Taka bezczelna byłaś?

— On też był bezczelny i bardzo wulgarny. Powiedziałam, że nie wiedziałam, że milicja tak brzydko mówi. Na co on, że też skończył studia i pamięta, że za jego czasów studenci nie przebierali w słowach, więc ja nie powinnam się tak oburzać. Na koniec dał mi swój telefon.

— Domowy?

— Nie, do pracy.

— Czy później dalej miałaś kłopoty?

— Często wpadałam w kotły. Często zabierano nas z jakichś spotkań. Ale w domu już nie miałam rewizji, co zawdzięczam chyba famie, jaką otoczona była moja mama, która wszystko, co uważała za trefne, paliła w piecu. Było więc ogólnie wiadomo, że w domu nic nie można znaleźć, bo mama już przeszukała...

— Co robiłaś poza „rzecznikowaniem”?

— Prowadziłam bibliotekę, a gdy powstało krakowskie pismo *Indeks*, trochę przy nim pomagałam. Zresztą tam zadebiutowałam tekstem o pielgrzymce papieża (ze spotkania na Skałce) i tłumaczeniami z angielskiego.

— Czy miałaś wtedy swoich „przewodników” intelektualnych?

— Czytałam wszystko, co pisali Jacek i Adam [Kuroń i Michnik — przyp. red.]. Ale trudno powiedzieć, żeby byli moimi „przewodnikami”. Czytałam wszystko, co wtedy wychodziło — jeszcze można było to wszystko czytać. Pamiętam, że z poetów uwielbiałam Herberta, mimo, że nie był pisarzem *stricto* opozycyjnym, a np. nie przepadałam za Barańczakiem.

— Gdy się rozmawia z waszą generacją, to...

— Ja się dystansuję od „generacji” (*śmieje się*). Byłam najmłodsza w SKS-ie.

— ... to wszyscy SKS wspominają nie jako formację myślową czy polityczną, tylko jako grupę kumpli. Imprezy, prywatki itd.

— Tak. A co do imprez — to przychodził na nie szerszy krąg osób — sympatycy, znajomi. Natomiast do rozdawania ulotek już ich nie było. To było denerwujące.

— Rozdawania?

— Tak, w Krakowie szło się i rozdawało do rąk. Nikt z nas tego nie lubił, bo nie jest przyjemnie zaczepiać ludzi, którzy nie bardzo chcą się zatrzymać. Wymyśliliśmy więc coś takiego, że chodziliśmy wszyscy, z dziesięć osób, i razem to rozdawaliśmy, a nie dzieliliśmy się rejonami tak, że każdy osobno miał rozdawać. Był to taki happening, że idzie dziesięć osób i rozdaje. Potem, już latem osiemdziesiątego roku, pojawił się pomysł wyrzutni ulotek.

— Właśnie, Twoje wakacje roku 1980...

— W sierpniu byłam akurat nad morzem, na Helu. Kiedy wracałam, zatrzymałam się w Warszawie i zaglądnęłam do Adama i Jacka. Dopiero od nich dowiedziałam się o Gdańsku. Będąc nad morzem, w ogóle nie wiedziałam, że tam są strajki! Potem przyjechałam do Krakowa i okazało się, że potrzebne są ulotki, ponieważ kogoś pobili (chyba Sikorę), a ponieważ nie dawaliśmy sobie w tym momencie rady z poligrafią, więc wysłano mnie do stolicy, żeby tam zrobili ulotki i żebym je przywiozła. Tam okazało się, że będą za dwa dni i trzeba czekać. Tymczasem u Jacka działało już centrum informacyjne. Parę maszyn, trzy kobiety piszą na nich postulaty, dzwonią telefony. Wtedy telefon Jacka był już przerywany, ale jeszcze nie wyłączony. I napływały informacje z całego kraju. Postanowiłam dowiedzieć się, co dzieje się w Krakowie. Ktoś zadzwonił, powiedział: „Strajk w Nowej Hu...” — i tu przerwano. Wysłałam więc do znajomych i od nich zaczęłam „obdzwaniać” wszystkich w Krakowie. I dowiedziałam się, że już stoją trzy czy cztery wydziały. Na drugi dzień miałam mieć ulotki wraz z projektem wyrzutni, kiedy do Jacka

wkroczyła UB-ecja. W domu było wtedy około 18-tu osób. Przyjechała kolejna ekipa, bo ci pierwsi nie mogli sobie dać rady z tyloma ludźmi. Podzielono zebranych na panie i panów.

— Jak dużo było ubeków?

— Chyba ośmiu. Jacek zawsze jak jest ubecja to serwuje herbatkę, zmienia popielniczki. W związku z tym, że byłam bardziej zasiedziała, bo mieszkalam tam te dwa dni, to zaczęłam czyścić popielniczki i robić herbatę. Jakoś tak wyszło, że wszystkie kobiety pojechały. Zaczęli wywozić panów i zobaczyli, że ja jeszcze jestem. A my już w kuchni się umówiliśmy, że będziemy próbować bym została, jako że ojciec Kuronia był chory i...

— Gdzie Gajka wtedy była? [żona Jacka Kuronia — przyp. red.].

— W Tymbarku na wakacjach... Pan Kuroń już raz podczas rewizji zasłabł i trzeba było wezwać pogotowie, a oni się tego potwornie bali. Esbecy: proszę pani, proszę się zacząć zbierać. Ja: ale ktoś z nas musi zostać, bo starszy pan Kuroń potrzebuje pomocy i nie można go zostawić samego. Gdzieś zadzwonili. Po chwili wracają i mówią: „Pani zostanie, tylko proszę się opiekować starszym panem Kuroniem”. I zostałam przy tym telefonie, który bez przerwy dzwonił.

— Nie odcięli go?

— Nie. Wszystko zabrali, maszyny itd., ale telefon cały czas był czynny, a tylko przerywany. Ponieważ trochę ludzi znałam osobiście, trochę ze słyszenia, to kiedy ktoś dzwonił i mówił np.: Strajk w Sta..., to wiedziałam, że chodzi o Starachowice i zapi-sywałam to wszystko, a dziennikarze przychodzili...

— Na szczęście znałaś angielski.

— Tak. Jacek doprowadził do tego, że oni codziennie do-wiadywali się, co słychać, poza tym przez te dwa dni wyręcza-łam go i dzwoniłam do BBC, do Smolara i opowiadałam co słychać.

— Na rachunek odbiorcy?

— Nie, myśmy płacili. Na to był specjalny fundusz. Oni nie mogli dzwonić, bo przerywano rozmowy.

— Jak długo to trwało?

— Ich zamknięto chyba 18-tego i siedzieli do zakończenia strajku. Wcześniej jednak przyjechała z wakacji Gajka, która nie mogła się długo dodzwonić, ale w końcu udało się i zdąży-łam jej powiedzieć, co się stało. Tymczasem przewalały się tłumy ludzi i w tym wszystkim ja zachorowałam na ciężką anginę. Przyszedł Wiktor Woroszyński dowiedzieć się, co słychać, a ja pamiętałam, że jego syn jest lekarzem i poprosiłam, żeby mi dał jakieś tabletki. W końcu starszy pan Kuroń wychodził do apteki

i mnie leczył, różne dziewczyny od Adama też przychodziły i mną się opiekowały. Ale kiedy Gajka przyjechała, to dostałam 40° gorączki i położyłam się zupełnie nieprzytomna.

— A porozumienie?

— Tam o nim usłyszałam. Gajka jeszcze wcześniej pojechała do Gdańska, wróciła i powiedziała, że będzie porozumienie. Włączyliśmy telewizor i...

— Radość, ulga.

— Tak, tak. Zwłaszcza, że w ostatnich dniach sierpnia atmosfera w Warszawie była dość ciężka. Mieliśmy uczucie, że oni tych siedzących spisują na straty, że będą chcieli zahandlować, że mało się o nich mówi, mało broni. Gajkę po raz pierwszy widziałam wtedy w lekkiej hysterii.

— Podpisano porozumienie i powinnaś była wracać do Krakowa...

— Powinnam, ale jeszcze byłam lekko chora. Poza tym Jacek, natychmiast kiedy wyszedł, to w nocy, przez okno wymknął się do Gdańska i ktoś przy tym telefonie musiał zostać. Były wakacje, ja skończyłam studia i wiadomo było, że pracy i tak nie znajdę. W tym okresie bardzo zaprzyjaźniłam się z Gajką; siedziałyśmy razem przy telefonie, dzwoniłyśmy kolejno na wszystkie komisariaty, udając żony aresztowanych i pytając, gdzie są. Wtedy Gajka stwierdziła, że w Warszawie będzie mi dużo łatwiej znaleźć pracę, bo są korespondenci, a poza tym są też studia doktoranckie. Postanowiłam zostać. Gajka powiedziała, że na razie mogę mieszkać u nich i będziemy szukać jakiegoś pokoju. Tutaj zresztą czułam się potrzebna, tu coś się naprawdę działo.

— W Krakowie też!

— Ale w Krakowie jakoś inaczej... W Warszawie — to był pomysł Jacka, kiedy na chwilę przyjechał z Gdańska — doszliśmy do wniosku, że warto robić niewielki biuletyn, mówiący o sytuacji w ruchu związkowym, na potrzeby korespondentów tudzież ludzi, którzy przyjeżdżali z całej Polski, aby dowiedzieć się, jak te związki zakładać, co robić, co się dzieje.

— W mieszkaniu dalej był „młyn”?

— Tak, potworny. Wtedy powoli zaczęły powstawać warszawskie związki, na początku kilka, więc parę innych, prywatnych mieszkań miało nas odciążyć, ale... Kiedy Krzysztof Śliwiński zrobił centrum informacyjne i powiedział, żeby się wymieniać informacjami, to wymienialiśmy się, ale tylko w jedną stronę, bo on miał ich dużo mniej. Ludzie po prostu byli przyzwyczajeni do 393964 (numer telefonu Kuronia), więc dzwonili tutaj.

Zaczęłam więc redagować ten biuletyn. W pierwszym numerze pomógł mi Sewek Blumsztajn; umówiliśmy się, że będziemy robić to razem, ale właściwie robiłam to w końcu sama. Potem na powielacz. To leżało u Jacka i w dwóch innych punktach: w KIK-u i w Mazowszu.

— Jan Józef Lipski napisał, że spałaś, siedziałaś, jadłaś i uczyłaś się przy telefonie, który zaczynał dzwonić o 6-tej rano, a kończył gdzieś o 2-giej, 3-ciej w nocy.

— Coś w tym rodzaju. Kiedy Mazowsze dostało lokal na Szpitalnej, przyszedli do mnie, że będą tam drukować *Informator*, ale żeby ktoś to robił, bo informacje są głównie tutaj. Zaczęłam najpierw sama. Jaś Narożniak miał być „technicznym”, ale stwierdził, że też chciałby redagować, że ma parę osób, które mogłyby pomóc... To wszystko powoli przechodziło do Regionu i zainstalowano tam teleks. Ile tych numerów wyszło — już nie pamiętam. Wtedy Henio Wujec wraz z Heleną Łuczywo z *Robotnika* wpadli na pomysł, że należy połączyć *Informatora* z *Niezależnością*, takim pismem, które robiła Ludka Wujec. Połączyliśmy więc obie redakcje. W końcu grudnia wyszedł pierwszy numer.

— Co istotnego dla kariery Kopciuszka zdarzyło się w ciągu „szesnastu miesięcy”?

— Nic poza pracą redakcyjną. To była moja działka.

— Gdyby nie to, że pojechałaś w sierpniu po te ulotki „broniące” Sikorę — to byłabyś...

— Pewnie w Krakowie.

— A więc jak w bajce: przypadek rządzi losem...

— Gdzie byłaś 13 grudnia?

— W tym mieszkaniu.

— I czemu Cię nie wzięli?

— Ponieważ nie brali osób, których nie mieli na liście, nawet gdy znajdowały się w mieszkaniu osoby, którą mieli zabrać. A każda ekipa miała inne nazwiska.

— A gdzie Ty byłaś zameldowana?

— W Krakowie. Zresztą bardzo często zmieniałam mieszkania podczas Solidarności — nie tak często, jak ukrywając się, ale jednak. Od Jacka przeprowadziłam się do wynajętego pokoju, potem wynajęłam mieszkanie i gdy okres najmu się skończył, zaczęłam szukać nowego i na ten czas zamieszkałam u Michnika. Dwa tygodnie przed stanem wojennym wynajęłam małą służbówkę, którą nazwaliśmy niejeżdżącym małym fiatem. Tam zostawiłam swoje rzeczy i pojechałam do Krakowa, do znajomych. Wróciłam trzy dni przed stanem wojennym bardzo

zmieniona. Miałam zawsze długie włosy, a wtedy obciąłam się krótko i ludzie mnie nie poznawali. Jakbym przeczuwała to, co się może zdarzyć... Dwunastego poszliśmy z Konradem na „Dreszcze” (na tym seansie było zresztą parę osób z Solidarności, w tym dwie, które się uchowały — Helena Łuczywo i jej mąż). Potem zastanawialiśmy się gdzie wrócić — do „fiata”, czy tu. Zaważyła na wszystkim kaszanka, bo Konrad powiedział, że jego ojciec przyniósł kaszankę i żebyśmy zjedli ją na kolację.

— (*śmiech*) U Ciebie nie było nic do jedzenia?

— Tak, u mnie był tylko biały ser, ale za to Konrad nie siedziałby w internacie. Zjedliśmy tę kaszankę i właśnie piliśmy herbatę, gdy zadzwonił telefon i jedna z dziewczyn pracujących w Regionie powiedziała, że teleksy są odcięte i zaczyna się blokada telefonów.

— Która była godzina?

— Chyba 23-cia... Przed północą dzwonek do drzwi, zaczęliśmy sprzątać mieszkanie. Konrad pyta się: — „Kto tam?” — „S.B.”. — On, że nie otworzy, bo jest po 23-ciej. Zaczęli wyłamywać drzwi.

— W jaki sposób?

— Łomem. Trochę naruszyli zamek, więc Konrad otworzył drzwi i mundurowy, któremu się potwornie trzęsła ręka powiedział, że jest stan wojenny i „Pan jest internowany”. Dla mnie to było nowe słownictwo, jakieś „internowanie”, „stan wojenny”.

— Ilu ich było?

— Trzech mundurowych, w tym jeden oficer lub podoficer, jeden cywil i jeden facet, którego wzięłam za sowieckiego pułkownika. To była najzabawniejsza historia, bo potem gadałam po całej Warszawie, że do nas przyszedł pułkownik sowiecki, a to dlatego, że miał mundur polowy, laskę, którą się podpierał i nic się nie odzywał, tzn. pewnie nie znał polskiego. „Sowiecki” też dlatego, że jak Konrad się ubierał i spytał, gdzie jest ten obóz internowanych, to mu odpowiedziano, że Białoleka. Ja wtedy nie znałam jeszcze miasta, a Białoleka kojarzyła mi się z Białorusią, więc stwierdziłam, że ich wywożą do Związku Sowieckiego... Gdy Konrada wyprowadzali, to któryś się spytał: „a pani to kto jest, dowód proszę”. Dałam dowód, tam miałam krakowskie zameldowanie, nawet nie spisali, tylko zapytali Konrada, czy pozwala, żeby ta pani tu została. On: „tak” i go wyprowadzono. A ja zostałam.

— Masz dziwne i podejrzone szczęście.

— Kilka osób też tak uważało — gdzieś w trzecim roku wojny pewna osoba puściła „informację”, że ja na 100 %, a Bujak na 60 % jesteśmy ubekami i dlatego nam się zawsze udaje.

Potem przyjeżdżali ludzie nawet z innych regionów i ostrzegali, że blisko RKW jest ubek czy ubeczka.

(zapala papierosa — w ogóle ciagle pali)

Jak go zabrali, po 15-tu minutach przyszła babcia Konrada, która ma 83 lat i pyta się, co się stało. Mówię, że jest stan wojenny i go zabrali. „Ale jak to, przecież on już nie jest w Solidarności!”. Faktycznie przed stanem wojennym rozwiązaliśmy *Niezależność*, Konrad nigdy zresztą nie był członkiem Solidarności, a ja chciałam właśnie z Solidarności występować.

— Jakie problemy nam rozwiązał ten stan wojenny.

— Nie wiem, czy słyszeliście piosenkę Kelusa „Szosa E7” — to jest dokładnie to. Jak jest karnawał, to ja wiem, że trzeba z tego jak najdalej uciekać. Włączyć się tylko, jak ludzie są bici. Wtedy jest dużo ciekawiej.

— Teraz właśnie karnawał się robi...

— Dlatego zajęłam się pracą magisterską.

— Wracajmy do grudniowej nocy.

— Ustaliłam z babcią, że ona zgasi światło 15 minut po moim wyjściu, nastawiłyśmy sobie zegarki i zaczęłam się przezbierać — wyszłam tym drugim wyjściem, padał już śnieg, obstawy nie było. Złapałam jakąś taksówkę i wpadłam na pomysł, żeby pojechać do Haliny Mikołajskiej. Nie wiedziałam dlaczego biorą, a ponieważ wcześniej była afera z Klubem Samorządnej Rzeczypospolitej (gdy weszli do Kuronia), więc myślałam, że biorą ludzi z Klubu. A Halina, aktorka, nie powinna być zabrana. Pojechałam do niej i tam Marian Brandys powiedział mi, że właśnie odprowadził ją na Wilczą. I kiedy mi powiedział, kto na tej Wilczej jeszcze był, to stwierdziłam, że jest kiepsko. Pojechałam do koleżanki z redakcji, córki Korotyńskiego, kiedyś naczelnego *Życia Warszawy*, myśląc, że jej jako technicznej i jeszcze córki „szychy” nie wezmą. Miałam rację. Nie wiedziała w ogóle, co się dzieje. Za chwilę przyjechał nasz kolega z redakcji z wiadomością, że wzięli Irenę Lewandowską, która pisywała w *Niezależności*. Stwierdziłam, że skoro ją wzięli, to co dopiero sekretarza redakcji, czyli mnie. Całą tę noc chodziłyśmy z Madzią Korotyńską po różnych domach i sprawdzałyśmy, kogo wzięli, a przy okazji zaglądałyśmy do różnych zakładów pracy, przekonując się, że nie ma żadnej gotowości strajkowej, że nie ma nikogo. Do Ursusa i Huty Warszawa nie dotarłyśmy... Pojechałyśmy do Małcużyńskiego, który był posłem, aby sprawdzić, czy posłów też biorą. On jeszcze nie wiedział o stanie wojennym i spał. Przed jego domem spotkaliśmy syna i córki Małcużyńskiego, którzy dobijali się do drzwi i myśleli, że ojca internowano. Byłam też u Mazowieckiego, gdzie zastałyśmy tylko dzieci, którym

powiedziałyśmy, żeby zawiadomiły Episkopat, bo tatuś pewnie nie wróci, skoro był na KK. Stamtąd pojechałam na Żoliborz, do Gajki Kuroniowej — to już było nad ranem — i przestraszyłam się. Była po proszkach nasennych, jakichś środkach uspokajających, kompletnie roztrzęsiona (gdy przyszli po Maćka Kuronia, to od razu powiedzieli, że mają także Jacka). Była absolutnie oklapnięta. Resztę nocy spędziłam u Ewy Milewicz, gdzie rano wkroczyła ubecja i spisała wszystkich prócz mnie, bo leżałam przykryta śpiworem i chyba wzięli mnie za córkę Ewy. Nikogo nie wzięli, ostrzegli tylko Ewę. Następnego dnia biegaliśmy po kościołach: u św. Anny spotkałam kogoś z Prezydium i dowiedziałam się, że w Hucie Warszawa jest szcztąkowy zarząd. Pojechaliśmy tam i jakoś przedostaliśmy się przez szpalet ZOMO.

— Co wtedy myślałaś?

— Że to wszystko będzie trwało maksimum trzy dni. Potem, że trzy tygodnie. Potem, że trzy miesiące, aż wreszcie dotarło do mnie, że to będzie trwało bardzo długo. Myślałam, że należy coś robić — w moim przypadku wydawać gazetę, bo na tym się jako tako znałam.

— Tzn. byłaś w dobrej kondycji psychicznej.

— To dlatego, że w sierpniu przeżyłam już sytuację, że wzięli wszystkich i trzeba było ich zastąpić. W Hucie Szandurski został przewodniczącym Komitetu Strajkowego i dostałam od niego karteczkę, że jestem „współpracownikiem”, tak jak podczas sierpnia to się nazywało. Tam spotkałam też Bieleckiego, który wtedy nie był słynnym Bieleckim i umówiliśmy się na współpracę. Wyszliśmy tyłem przez pola i później okazało się, że w tym momencie z przodu wchodziło ZOMO. Ewa Milewicz skontaktowała mnie z resztkami Nowej, spotkałam się też z paroma osobami z prasy związkowej. Rozdaliśmy zadania, zwłaszcza chodziło o informacje z zakładów i kontakty z nimi. W maszynopisie wydawaliśmy *Informacje Solidarności* (jeszcze nie było *Tygodnika Mazowsze*) które rozdawano korespondentom. Potem powstał problem nawiązania kontaktu z Bujakiem i Kulerskim.

— Jak dowiedzieliście się, że ocaleli?

Nie pamiętam, ale to szybko się rozniosło. Złapaliśmy z nimi kontakt i po wielu perypetiach dostałam się do Wiktora — strasznie był zadekowany; osoba, która pośredniczyła, absolutnie nie chciała się przyznać, że wie gdzie on jest. W końcu pod groźbą szantażu, że ostatni raz przyjeżdżam i niech zostanie sam, a my będziemy robić bez niego, dostałam kontakt bezpośredni. Wiktor zapytał, co jest — powiedziałam, że kontakt z korespondentami itd. Miał listę pytań, na wszystkie odpowiadałam:

jest, jest, jest. Brakuje tylko was. Mamy dla was mieszkania — bo od początku zbieraliśmy u różnych znajomych „oferty mieszkaniowe”. Mieliśmy już łączników między nimi itd. Ja miałam być łącznikiem między nimi a szefem kolportażu, tyle że nie było co kolportować, co mnie martwiło, bo znalazłam sieć kolportatorów, natomiast na początku nawalili drukarze i nie można było wydębić od nich, żeby coś robili. Wtedy umówiliśmy się z Wiktorem, ja już miałam „lewy” dowód.

— Miałas — jak się zdaje — też inny wygląd.

— Tak (*śmieje się*). Jeszcze przed Nowym Rokiem zaczęłam nosić okulary. Już w 1982 spotkaliśmy się na skrzyżowaniu w jakimś polu poza Warszawą z Bujakiem. Jak go zobaczyłam przebranego za kolejarza, to myślałam, że umrę ze śmiechu. Brodaty, w okularach...

— A czy znajomi Cię poznawali?

— Nie. Nawet Konrad mnie nie poznał. W „moim” dowodzie było white, że mam męża, więc powiedziałam Zbyszkowi, że nazywa się tak i tak i nie ma przy sobie dowodu, bo zgubił. Jechaliśmy m.in. przez Ursus i Zbyszek swoim charakterystycznym głosem raz po raz krzychał: „O, poznajesz go?! On był w Prezydium” itp. Musiałam go co chwilę szturchać. Ale i tak był nie do poznania. Kulerski natomiast wyglądał dokładnie tak samo, jak wyglądał wychodząc 12 grudnia z Regionu — w tej samej czapeczce, którą nazwaliśmy berecikiem z antenką i w tym samym kusym płaszczyku. Zawieźliśmy ich do mieszkań, przedstawiliśmy gospodarzom i umówiliśmy ich na spotkanie z tymi, którzy ocaleli, m.in. z Romaszewskimi i paroma osobami, których nie ujawnię. Na tym spotkaniu nastąpił podział zajęć. Romaszewski referował, że ma możliwość stworzenia radia „Solidarność”.

— Kiedy to było?

— Pierwsza połowa stycznia.

Potem zaczęły się pierwsze wpadki w naszej okolicy, tzn. wśród znajomych, których się znało z opozycji. Człowiek wchodzi i dowiaduje się, że przed chwilą gospodarza zabrali.

— Czy należałaś do bardzo zagrożonych?

— Raz byłam w mieszkaniu, w którym robili rewizję. Ja byłam schowana. To było po tej słynnej wpadce Bujaka i musiałam ostrzec ludzi, żeby nie przyszli do pewnego miejsca, bo może być spalone... Miałam takie uczucie, że mogą za chwilę wejść i faktycznie — dzwonek do drzwi...

— Gdzie wskoczyłaś?

— Powiedzmy... „pod stół”. Nie chcę mówić do końca, bo oni nawet nie wiedzą, że ja byłam w tym mieszkaniu i nie chcia-

łabym, by gospodarze mieli jakieś problemy. Przechodzili obok mnie dokładnie tak (pokazuje na odległość ręki), widziałam nogi. Druga wpadka była 31 sierpnia 1982, kiedy weszli do lokalu, w którym się ukrywałam, podczas gdy akurat byłam w innym mieszkaniu i nie wróciłam na noc. Czekali na mnie miesiąc...

— Czy te wpadki to jest nasze niechlujstwo czy ich profesjonalizm? Na przykład wpadka Bujaka.

— Wpadka Zbyszka to był absolutny przypadek połączony z tym, że dużo osób knuje w jednym miejscu. Nie mówię tu o mieszkaniu, tylko o okolicy. Zbyszek wpadł, ponieważ szukali radia „Solidarność”. Co do mojej wpadki... Mieszkłam w willi sowieckiego generała, który był na wakacjach na Ukrainie... Nie wiedział, że ja tam mieszkam. Jego syn udostępnił mi to mieszkanie, a z synem znaleźmy się jeszcze z okresu Solidarności. On nie musiał wiedzieć, że jestem poszukiwana — nie było listu gończego za mną.

— Właśnie — jakie nagrody były za was?

— Była nagroda za Jedynaka. Polonez.

— A za was?

— Słyszeliśmy, że np. za Bujaka był najpierw milion, potem trzy. Ale nagrodę za Jedynaka widzieliśmy na liście gończym.

— Wracajmy do wpadki.

— Z tego mieszkania korzystał wcześniej emerytowany ubek, który pracował w Interpressie i było umówione, że on nie przychodzi, ponieważ jestem ja — koleżanka, która pisze pracę maderską i będzie podlewała kwiatki, sprzątała, wietrzyła itd. On jednak przyszedł, kiedy mnie nie było, i zrobił przeszukanie. Nie to, że znalazł moje rzeczy, ale znalazł rzeczy mojego kolegi, jeszcze z czasów opozycji, gdy ten pracował jako redaktor techniczny w jednym z pism. Znalazł tam m.in. artykuł dedykowany temu koledze przez jakiegoś znanego opozycjonistę. I z tym poleciał na UB, które już zrobiło dokładną rewizję i znalazło moje zdjęcia.

— Czy pełniłaś jakieś „oficjalne” funkcje?

— Nie, nigdy niczego nie podpisywałam, przez cały czas ukrywania się. Po prostu musiała być jedna osoba, która mogłaby poruszać się w miarę swobodnie. Zbyszek i Wiktor byli chronieni, bo byli bardzo znani z twarzy, ale musiał być ktoś, kto załatwiałby im spotkania, mieszkania, łączność.

— Hm, nie jesteś znowu taka nie do zauważenia...

— Ale miałam większe możliwości zmieniania się i nie było moich zdjęć w TV, a Zbyszek był dość często pokazywany. A zdarzało mu się np., że jechał taksówką i właśnie była jakaś audy-

cja, w której puszczała jego nagrany głos. Wtedy nagle przedstawiał odzywać się do taksówkarza. Mnie się to nie zdarzało...

— Czy będąc w tak ścisłym „kierownictwie” miałaś poczucie swojej ważności?

— Nie, nie. Miałam poczucie funkcji służbowej ważnej o tyle, że gdyby jej zabrakło, to oni nie bardzo mogą istnieć. Zawsze musi być ktoś od mało efektownej roboty.

— Nie wpadłaś w zarożumiałość?

— Chyba nie, zwłaszcza, że nie było to przyjemne przez to, że młoda kobieta...

— Bardzo ładna...

— ...jest przy czterech mężczyznach. Była to świetna pozycja nie tylko dla ubecji, która na ten temat uciniała sobie żarty i plotkowała, ale także dla ludzi ze środowiska, którzy np. przychodzili do żony Zbyszka i mówili jej, że mąż ma kochankę...

— Jak zatem poradziłaś sobie z tą presją psychiczną? Przecież ukrywanie się musi być bardzo trudne nawet dla tzw. „mocnego” faceta. Nie miałaś tego dosyć? Nie płakałaś po kątach?

— Na samym początku nieraz płakałam. Wyobrażcie sobie: jestem gdzieś na przedmieściach miasta, jest zimno, za chwilę godzina policyjna, chce mi się jeść, sikać, nie mam swoich butów, tylko czyjeś małe, kolejny adres jest pomyłony. Wtedy się rozbierałam i pomyślałam, jak dobrze byłoby w internacie. Tam jest ciepło, przytulnie i pełno znajomych. Potem już się tak nie zdarzało. Ale bolało mnie, gdy słyszałam, że to jest Zbyszek Kulik, a to Ewa Bujak, że kobieta rządzi Bujakiem. Bolało to mnie tym bardziej, że lubię Zbyszka. Być może, że gdyby to był inny człowiek, dawno bym to rzuciła.

— Kto był taki „milutki”?

— Nasi. Niekiedy ci, którzy kiedyś coś robili, a potem się przestraszyli, podpisali lojala, albo nawet nie podpisali, ale się bali, albo po prostu ci, którzy nie mogli się w tym znaleźć. Uratowało nas, tzn. te cztery osoby podpisujące i mnie oraz wszystkich nam pomagających to, że tworzyliśmy zgraną grupę...

— Wrócił klimat SKS-u?

— Nie. To było dużo lepsze od SKS-u. Zagrożenie sprawiło, że byliśmy sobie bliźsi. Nie było takiego jak w SKS-ie plotkarstwa.

— Jesienią 1986 wróciłaś na studia...

— Musiałam się reaktywować, żeby napisać pracę magisterską. A ponieważ zrobiłam 4-letnie studia, więc przyjęli mnie na V rok.

— O czym pisałaś?

— O Amerykaninie Williamie Styronie. Był kiedyś dość znany, zwłaszcza z jednej książki — „Pograć się w mroku”. Cały ten rok to były cotygodniowe wyjazdy do Krakowa na dwa dni, aby pisać tę pracę, potem powrót do Warszawy, aby połatwiać parę rzeczy. Oprócz tekstów do pracy właściwie niewiele czytałam.

— Co dostałaś z obrony?

— Tylko cztery.

— Dlaczego „tylko”?

— Jaś Lityński uważa, że piątka byłaby demonstracją polityczną. Dwójka też... Ale nie — po prostu taka mi średnia wychodziła ze studiów.

— Brali pod uwagę Twoje *dossier*, tzn. to, kim jesteś?

— Nie. Natomiast kiedy się reaktywowałam, to napisałam takie podanko, w którym opisałam, co robiłam i wtedy „zastępca zastępcy” dyrektora powiedział, że lepiej, bym tego wszystkiego nie pisała, bo oni wiedzą, co ja robiłam — tylko napisała „Z przyczyn ode mnie niezależnych przez 6 lat nie mogłam napisać pracy”.

— Teraz „wypadłaś” z obiegu. Póki ukrywałaś się, byłaś jedną z najważniejszych postaci.

— Nie miałam takiego poczucia.

— Ale obracałaś się wśród tych najważniejszych. Teraz... No, na rauty chodzisz, to trochę nobilituje. Czy masz zamiar jakoś politycznie ciągnąć swoje życie?

— Chciałabym powrócić do tego statusu, jaki miałam w SKS-ie — tzn. mogłam sobie życie podzielić na pół i mieć...

— Prywatność.

— Nawet nie, ale swoje zainteresowania, tzn. anglistykę i działalność społeczną jako działalność społeczną, a nie zawodową. Bo przez te pięć lat to był zawód — rewolucjonista.

— Co planujesz?

— Chciałabym tłumaczyć.

— Masz na widoku konkretne tytuły?

— Pierwszą książką byłyby „Przemówienia” Roberta Kennedy’ego.

— To masz w kieszeni zawód.

— O ile okażę się dobrym tłumaczem — a może to się nie udać, bo ostatnio straciłam trochę kontakt z językiem.

— A co z działką „społeczną”?

— To jest tak, że jak człowiek połknął tego bakcyła, to nie jest w stanie się od tego oderwać. Kiedy się coś dzieje i człowiek wie, że jest potrzebny, że go brakuje, że ma jakiś pomysł, to... Teraz mam poczucie, że to co umiałam robić, co robiłam

przez te pięć lat, nie jest aż tak bardzo dziś potrzebne... Ale nie jest chyba tak źle, bym się gdzieś dzisiaj nie przydała.

— Lubisz Jandę?

— Tak, chociaż mnie drażni, bo czasem jest trochę przerysowana.

— A nie wydaje ci się, że jesteście dosyć podobne?

— Wiele osób mi coś takiego mówiło. Ale inaczej palę papierosy.

— Może nie tak ostentacyjnie, ale palisz niemało.

— Tylko kiedy mówię. Ale na przesłuchaniach nie palę w ogóle.

— Odmawiasz zeznań?

— Tak. Nie tylko zeznań — w ogóle się nie odzywam. Byłam jedyną, która nie mówiła „dzień dobry”, „do widzenia”, ani „proszę”. Ani „pocałujcie mnie gdzieś”.

— Aresztowanie było właściwie Twoim pierwszym kontaktem z celą.

— W zasadzie tak, bo wcześniej były tylko „cztery osiem”. Ale też do tej celi przygotowywałam się pięć lat i miałam wszystko przeciwicone.

— Czy lepiej się siedzi „z nazwiskiem” czy „bez nazwiska”?

— Jako ta Kulik? Lepiej. Ale też przypominam sobie, że gdy jakiś nowy ubek, który nie wiedział, że z nami trzeba elegancko postępować na „cztery osiem” (bo był taki *prikaz*), zamachnął się stołkiem.

— Uderzył Cię?

— Nie. Powiedziałałam: „Niech pan uderzy, ale może pan żałować, bo co pana przełożeni na to powiedzą. Nie wolno bić niewinnych. Żeby pan nie palnął głupstwa...”.

— Będziemy chyba kończyć tę rozmowę, bo niebezpiecznie zbaczamy w historię. Dziękujemy Ci bardzo za spotkanie, zwłaszcza, że wymyśliłiśmy sobie jeszcze rozmowę z Jandą, a tu mamy Jandę — kopciuszka podziemia.

— To dla mnie komplement.

Lipiec 1988

(Rozmowa nieautoryzowana)

ZAWODOWY REWOLUCJONISTA?

ROZMOWA Z JACKIEM KURONIEM

— Czy jesteś zawodowym rewolucjonistą, co to znaczy i dlaczego ciągle się przeciwstawiasz?

— Intencją tego pytania jest zapewne, czy robię przede wszystkim to? W tym sensie słowa jestem „zawodowym”, choć nikt mi za to nie płaci. Tylko nie rewolucjonistą. Właśnie na tym polega moja ewolucja ideowa — byłem rewolucjonistą, a dziś nie jestem. Nie jestem, ponieważ uważam, że rozwiązania rewolucyjne są czasem konieczne, ale zawsze złe. Sposób stwarzania wywiera niesłyszalnie silny wpływ na to, co tworzysz. Ład społeczny, który się tworzy drogą rewolucji, jest od razu skażony. Na wszystkie możliwe sposoby. Żeby to odnieść do dziś — ze strachem patrzę na liczną gromadę młodych „zadymiarzy” — skądinąd bardzo sympatycznych ludzi. Myślę sobie, że gdyby tak „ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego”, to co oni by robili? Zadymy! W każdym razie nie mają żadnych kwalifikacji, aby stać się elitą polityczną przyszłej demokracji parlamentarnej. Przeciwnie, mają w tej dziedzinie antykwalifikacje. Nie jest to ich wina. To jest cecha warunków, w których walczymy. Jeśli możemy wpływać na historię (a to jest duży znak zapytania)...

— To chcemy wpływać tak, żeby nam to odpowiadało...

— Powiedziałbym konkretniej: to chciałbym wpływać w ten sposób, aby proces tworzenia demokracji parlamentarnej dokonywał się stopniowo.

— Może w takim razie jesteś z natury zawodowym opozycjonistą?

— Znowu dwie kwestie w jednym pytaniu. Na jedną już odpowiedziałem: powiedziałem, że uprawiam przede wszystkim

to, co można nazwać polityką. Jestem zawodowym politykiem opozycyjnym. Ale to określa moje miejsce w tym ładzie. To jeszcze nie jest odpowiedź na Twoje pytanie o cechy charakteru.

— Wróćmy do tych niecharakterologicznych cech. Czy wyobrażasz sobie ustrój, w którym mógłbyś żyć, taki, do którego byś doprowadził, w którym nie byłbyś wreszcie opozycjonistą?

— To jest dla mnie za trudne pytanie. Nie dał mi los żyć w ustroju, który mógłbym zaakceptować... Więc może jestem tak samo skażony jak i ci chłopcy, o których opowiadałem przed chwilą?

(Śmiejemy się. Wyrzywa się „O właśnie”).

— No więc na pewno jestem tak samo skażony.

Telefon. Jacek po chwili:

— Tylko ja to wiem. Wcześniej sobie uświadomiłem to niebezpieczeństwo, które grozi zarówno mnie jak i ładowi społecznemu, który buduję. Ono wynika z sytuacji, w jakiej się znalazłem i staram się jakoś temu zapobiegać. Bo mimo wszystko twierdzę, że „opozycyjność” tutaj też można uprawiać w sposób konstruktywny, pozytywny. I wyrazem tego jest moje hasło...

My — chórem:

— Nie palcie komitetów, tylko je zakładajcie!

— Przecistawiam czystej destrukcji działanie konstruktywne, społecznikowskie. W ogóle moje „politykowanie” jest bardziej społeczne niż polityczne. To jest niesłychany paradoks, dlatego, że mój *image* społeczny jest *image’em* wielkiego manipulatora. Natomiast nic nie jest mi tak obce, jak manipulowanie. Uprawiam zupełnie inny rodzaj polityki. Ta polityka, którą tutaj można uprawiać — nie będąc oczywiście politykiem kawiarnianym, to znaczy facetem, co siada i gada o polityce — to opozycyjna polityka w ruchu społecznym. A ruch społeczny, żeby dobrze funkcjonować — musi być takim rodzajem działań, w którym każdy realizuje swoje dążenia na miejscu, tam gdzie może, w swoim zakresie. To znaczy, że wszystkie grupy składają się na ruch, który może oddziaływać na centrum polityczne kraju, a zarazem każda z tych grup umie i może swoje sprawy załatwiać na miejscu. To jest dla mnie ideał. A największy mój ideał ruchu to jest Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa — jako element działania PPS. To znaczy ten WSM sprzed wojny, choć to była tylko enklawa. Ale tak wyobrażam sobie wielki ruch społeczny. Oni budowali najpierw mieszkania, ale potem przedszkola, teatry, domy kultury, świetlice — i do ruchu w ten sposób przynależały niejako dzieci, staruszki, rodziny. A zarazem była to część dużego ruchu — i to jest mój ideał społecznikowski, ideał

ładu społecznego. W takim ruchu funkcjonowałbym. Nawet będąc opozycjonistą — to jest „opozycyjność konstruktywna”. To, co ja mam do zaproponowania władzom, co chcę na nich wymusić, jeśli działam tu i teraz, to co staram się przeprowadzić — to proces stopniowego budowania demokracji parlamentarnej, opartej o samodzielne, samorządne grupy lokalne i inne. Wiąże się to wszystko z zasadniczym pytaniem, skąd się wzięłam w polityce? Bardzo długo na pytanie o zawód odpowiadałam...

— Polityk.

— Nie, wychowawca. Później stało się to trochę puste i niezrozumiałe i właściwie do każdej z tych wypowiedzi należało dołączyć mnie — więc przestałem tak mówić. Teraz już po prostu nie wpisuję sobie zawodu. W odpowiedniej rubryce piszę J.K.

— Wiadomo kto...

— Cała moja droga do polityki, pomijając przygodę komunistyczną między 15 a 19 rokiem życia...

Znowu telefon. Po chwili:

— Miałem 19 lat, gdy uznałem, że cały ten komunizm, w którym żyję, to nie to. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie to i co można na to poradzić. Wymyśliłem sobie wtedy, że wszystko bierze się stąd, że ludzie nie chcą rządzić. Wyobrażałem sobie wtedy, że mają warunki, mogą, tylko im się nie chce. To się narzucało. Po pierwsze — odbywają się wybory i mało kto przychodzi; po drugie, ci co przychodzą, wybierają tych, których im kazali wybierać. Przecież mogliby wybrać kogoś innego, odrzucić, wpisać na listę. Wiem już, że to nieprawda, ale o tym musiałem się przekonać w praktyce. Wtedy wierzyłem, że ludzie nie są aktywni w rządzeniu — stąd się bierze deformacja. Czemu nie są aktywni? Bo nie mają ochoty rządzić. A to jest po prostu defekt wychowania, więc trzeba komunizm uzupełnić o wychowanie. Tak wymyśliłem walterowców. I ideę, że wychowuje się dla aktywnego zmieniania świata, do rządzenia.

Są trzy modele wychowania. Jeden to szkoła: maszyna do przysposobienia społecznego. I to bardzo dobra maszyna, doskonała. Dlaczego? Bo jest jedną z instytucji, które funkcjonują w danym społeczeństwie — instytucją, która jest mniej więcej taka, jak ten system. Tak jest w każdym systemie. Człowiek, który przez nią przeszedł, jest przystosowany do życia w tym społeczeństwie. To jest masowy model przystosowania.

Drugi model jest modelem mistrzów. Za punkt wyjścia bierze się dążenia i potrzeby dziecka. Korczak jest tu klasykiem, ale można by wymienić wielu. Oni budują dzieciom idealny ład społeczny. Tylko pojawia się problem: co się dzieje z dziećmi, gdy opuszczają na przykład sierociniec Korczaka i wchodzą w

społeczeństwo takie, jakie jest. Istnieje spora obawa, że się roztrzaskają.

Wreszcie trzeci model, który sobie wymyśliłem, choć wcale nie twierdzę, że jestem jego wynalazcą: dzieci wprowadza się w życie społeczne, pokazuje, jakie ono jest i organizuje do zmieniania tego świata. Nie będę się wdawał we wszystkie słabości i wady tej konstrukcji, dość, że zacząłem się w to bawić z walterowcami. Oni mieli po 12-13 lat.

— Ty miałeś 19.

— No, 20. Początkowo nie wchodziliśmy w kolizję z porządkiem społecznym, bo moi walterowcy w gruncie rzeczy poznawali świat, a to, co mogli robić, było na poziomie nieznanym.

— A czy nie miałeś wrażenia, że jesteś przeciw całemu panującemu wokół ładu?

— Nie pamiętam już, chyba nie, w każdym razie przez myśl mi nie przeszło, co z tego wyniknie. Mimo, że to można było łatwo zgadnąć. Pewnego dnia ludzie ci dorastają, mają po 16 czy 17 lat i chcą radykalnie zmieniać świat, bo do tego byli chowani. I coś z tym fantem trzeba zrobić. Nagle znalazłem się w roli kury, która wychowała kaczątką. Stałem nad brzegiem wody, a oni popłynęli. To była groza, no, groza!!! (*z żartem w głosie*) — Michnik założył Klub Poszukiwaczy Sprzeczności — wojuje jak ten lew. Tolek Lawina i Marek K. postanowili zejść w podziemie i założyć podziemną, komunistyczną partię. Byłem wtedy w wojsku na 3-miesięcznych ćwiczeniach, jak oni do tych decyzji dojrzewali i bardzo dramatyczne listy do nich pisałem na temat „dlaczego nie”. W rezultacie rozwiązaliśmy Krąg Walterowski i... przystąpiliśmy do działań opozycyjnych. W ten sposób ja ze „swoimi dziećmi” wszedłem w działania opozycyjne...

— Znaczą oni Cię wciągnęli?

— Tak. Już z pewnym dorobkiem, z pewnym temperamentem, bo wcześniej był rok '56, w którym działałem — ja mam temperament działacza politycznego, ewidentnie — ale w ten właśnie sposób tu wszedłem. Przy okazji walterowców.

— Czy to prawda, że rozpieprzyłeś ZHP?

— Nieprawda. ZHP zlikwidowano w latach '48-49 i ja w tym nie brałem udziału. Miałem wtedy 14-15 lat. Natomiast kiedy w 1956 roku ZHP reaktywowano — w czym już brałem udział i zostałem wybrany do Rady Naczelnej tego związku — wówczas walczyłem z tradycyjnymi koncepcjami pedagogicznymi w imię swojej metody: demokracji dziecięcej, koedukacji, konfrontacji z krzywdą społeczną. To była wtedy prawdziwa

rewolucja — zwłaszcza ta koedukacja. Strach, co o mnie wypisywano...

— Wolna miłość?

— Coś w tym rodzaju, że każę dziewczynom spać z chłopakami. A u nas po prostu były koedukacyjne zastępy. Wychodziliśmy z założenia, że prawdziwie wielka miłość może wyrosnąć tylko na partnerskiej przyjaźni chłopców i dziewcząt. Ponadto nasze zastępy były różnowiekowe, chłopcy i dziewczęta w takim zastępie tworzyli wspólny klimat wzajemnej pomocy, opieki, życzliwości w przeciwieństwie do klimatu rywalizacji, kultu siły, pogardy dla słabszych, jaki często panował w tradycyjnych jednowiekowych zastępach chłopców. Popełniłem wtedy błąd, który wynikał z faktu „zakręcania” już wtedy wokół harcerstwa wywalczonych w ’56 szczątków demokracji, liberalizmu. Trzeba było rozumieć, że lada chwila demokrację „zakręca” i ci, z którymi walczę powinni być moimi sojusznikami, a nie przeciwnikami. Gdybym nie był taki głupi jak byłem, to bym działał inaczej. Co wcale nie znaczy, że nie wojowałbym o te same wartości. Kiedy na szczytach doprowadzono do ubicia Kamińskiego i innych (w czym nie uczestniczyłem) — skauci się podzielili. Część poszła z Kamińskim, a część została. W zasadzie zlikwidowano mi przeciwnika i od razu zobaczyłem, że jestem w dołku. Zabrakło pluralizmu i aparat partyjno-harcerski zaczął likwidować wszelką samodzielność. W tym czasie była ogromna presja „uszkolnienia” harcerstwa. Robili akademie, prace społeczne i pilnowali, żeby się dobrze uczyć. A ja wymyśliłem system inny od tradycyjnego. I to mi mają głównie za złe. Był to pomysł zupełnie utopijny. Próba zatrzymania tendencji realizowanej przez instruktorów przy pomocy jakiegokolwiek systemu, to zatrzymywanie rzeki patyczkiem. Niemożliwe! Najkrócej mówiąc był to pomysł sprawności zespołowych. Każda sprawność stanowiła zadanie. W pierwszym roku zastęp miał prawo wybierać zadania tylko dla siebie (na przykład: zbudujemy tratwę i spłyniemy rzeczką), w drugim roku zadania dla drużyny (na przykład zorganizujemy olimpiadę), w trzecim roku dla środowiska (na przykład wydamy gazetę podwórkową). W ten sposób chciałem inicjatywę programową przekazać dzieciom, a zarazem powstrzymać przepętną tendencję szarwarkowo-akademiijną. Skończyło się tak, jak się musiało skończyć — aparat partyjno-harcerski wykorzystał ten system do pacyfikowania niepokornych. Wyrzucono i mnie, a po niespełna roku także system. On przecież absolutnie nie nadawał się do totalitarnego ładu. Tradycyjna metoda z jej ustawodawstwem i odgórnie ustalonymi wymaganiami jest dla tego ładu stanowczo wygodniejsza.

— Ale ZHP było wtedy strasznie zindoktrynowane?!

— Ja proponowałem tę samą ideologię — ale w jakże innym wydaniu! Proponowałem samodzielność dzieci — np. gazetki podwórkowe i szkolne wydawane przez zastęp na dziecięcej drukarni. I była awantura — kto to będzie cenzurował?! Walczyłem o demokrację dla dzieci, a zarzucano mi walkę ze szkołą. Bo jak zaczęli robić te gazetki, to były one rzeczywiście antyszkolne! No i partia mnie wyrzuciła.

— Na czym polega ten temperament? To jest chyba bardzo charakterystyczne: z jednej strony jesteś „przebojowy”, a z drugiej chciałbyś być politykiem. To się zazębia...

— Chyba nie. W innym ładzie społecznym mógłbym być wychowawcą, artystą i byłaby to moja pasja. Prowadziłbym wojnę o prawa dziecka. Śmiało sobie wyobrażam, że robię wielki ruch o prawa dziecka. Mój ideał wychowania jest właśnie taki. Raz już go sygnalizowałem — wielki ruch, w którym biorą udział dzieci i dorośli, który łączy całe rodziny, który jest ruchem zmieniania świata... w sposób konkretny i konstruktywny. Który jest ruchem jednocześnie walki politycznej, bo walczy na przykład o zmianę szkoły i różne takie rzeczy. Oczy mi błyszczą, ile razy o tym wspomnę. Wszystko, co robiłem, starałem się organizować jako ruch społeczny, ponieważ jego istotą jest, że każdy uczestnik jest podmiotem, a zarazem zmienia siebie i warunki swojego życia.

Wreszcie mamy okazję wtrącić swoje zdanie:

— Ale czy nie ma zbyt dużego ryzyka popełnienia błędu? Rozumiesz, że przy okazji możesz „zepsuć coś”, czy też kogoś nieodwołalnie. Nie wydaje ci się?

— Oczywiście. Opisałem te dylematy w „Zło, które czynię”. Jest to problem każdego wychowania. Akurat w ruchu społecznym, przy możliwie maksymalnej samodzielności uczestników możliwie najmniejszy. Tyle, że tu z kolei pojawia się inny problem, ten że prowadzę swoich wychowanków na stos i co ważniejsze niebezpieczeństwo, że represje mogą ich złamać.

— To nie rób tego!

— Ja Cię bardzo przepraszam, ale zaniechanie tego jest równie wielkim grzechem. Jak się człowiek rozejrzy dookoła, to okazuje się, że ludzi poharatanych przez los, pokrzywdzonych przez to, że nikt im nigdy nie złożył propozycji sensownego działania — jest niewspółmiernie więcej niż tych, których złamało to, że poszli do więzień. Że wyszli z nich połamani? Oczywiście jest pewien procent tych połamanych. Zadziwiająca jest ilość osób sfrustrowanych po internatach i Solidarności, kiedy represje były przecież niewielkie.

— ...niewielkie?...

— Tak, niewielkie. A wyszli z nich ciężko chorzy ludzie. Strach na to patrzeć. Myślę, że chodzi tu o problem, o którym mówiłem: jeśli coś robisz, to się przymierzaj do ławy oskarżonych. Po pierwsze po to, żebyś wiedział, że za to pójdziesz do więzienia; po drugie po to, żebyś wiedział, że tego, co robisz, będziesz mógł śmiało stamtąd bronić. Ciężki jest los takich, którzy nie tylko się do tego nigdy nie przymierzali, ale nawet im do głowy nie przyszło, że za to co robią coś złego może im się przytrafić. Byli pewni, że skoro samo dobro robią... To była sytuacja masowego awansu dokonanego przez Solidarność. I na tym chyba polega dramat ludzi nagle wrzuconych do internatu.

— Twoje wieczne „nie” — kiedy się zaczęło? Czy już w czasie walterowców?

— Moje „nie” datuje się od historii, którą pozwolę sobie tutaj opowiedzieć, a którą uważam za największe osiągnięcie mojego życia.

Nadstawiamy uszu.

— Znam to w większej części z opowieści rodzinnych, bo miałem wtedy lat pięć, może troszkę mniej. Działo się to w **Teatrze Wielkim** we Lwowie. Poszedłem z babcią na bajkę „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. W momencie gdy zły czarownik zaczął wypychać tych dwu do worka, zerwałem się i z dzikim, przerażającym rykiem poleciałem na scenę, gdzie zacząłem okładać pięściami czarownika. Znieśli mnie stamtąd...

Wybuchamy śmiechem.

— ... a ja siedziałem i zanosilem się płaczem. Babcia potem przysięgała, że więcej ze mną do teatru nie pójdzie. Panie bileterki mówiły, że z tymi dwoma wszystko w porządku, ale mnie to nie obchodziło. Wyłem przeraźliwie. Muszę powiedzieć, że się straszliwie bałem. Pamiętam obłądny, nieludzki strach i jakąś olbrzymią siłę, z którą ten strach przełamuję, biegnę na scenę — bo muszę, nie mogę nie pobiec. Otóż uważam, że to jest model mojego całego życia i każdego zachowania. Ja się boję, boję się panicznie.

— O kogoś.

— O siebie. Bałem się, co mi zrobi czarownik. Panicznie boję się więzienia.

— Proszę?

— Oczywiście. Boję się śledztwa. Dostaję dreszczy, jak podjeżdża policja. I za każdym razem muszę od nowa ze sobą wygrać. Ze swoim strachem. Jakoś tam wygrywam. To jest model podstawowy. Jak chcesz nazwać to „nie”, to to jest „nie”. Ale takie: chcę bronić dwóch chłopców na scenie, muszę to

robić, lecz gdyby mi ktoś powiedział, kiedy miałem 20-25 lat, jakie ja koszta za to zapłacę...

— Też byś to zrobił...

— Nie. Boję się, że nie. Kiedy siedziałem, czekając na wyrok po „Liście otwartym” w '65 roku, chodziłem po spacer-niaku i myślałem: Ile więzienia mogę wytrzymać? Trzy lata? Nie, tyle to nie. A pięć? Jezu, nie! A jeszcze dziewięć! Gdyby mi ktoś powiedział: dziewięć... Tylko to jest tak: wchodzisz i idziesz. Masz jakieś przeszkody i je pokonujesz. Idziesz i coraz trudniej się cofnąć... A potem mówisz: tyle przeszedłem, to już mi chyba mniej zostało, nie? I znowu idziesz. A tu jeszcze trudniej.

— Ile w sumie siedziałeś?

— Dziewięć lat właśnie.

— Ale może na początku to był taki dziecinny protest, potem zaś dorobiłeś sobie ideologię typu: jestem socjalistą, a z socjalizmem jest związany protest?

— Nie, to jest odwrotnie. Wyrośłem w etosie socjalistycznym.

— Socjalistycznym czy komunistycznym?

— Socjalistycznym. Dziadek mój był PPS-owcem, ojciec też. Dziadek i jego bracia byli w 1905 roku w organizacji bojowej PPS. Ja rośłem w legendzie. Dziadka brat był wybitnym bojowcem w Zagłębiu. Historii znałem całe mnóstwo — jak się ostrzeliwał, jak go wieszali. Dziadek mi śpiewał: Pojedziemy etapem na Kamczatkę z kacapem, hej, zawisniemy wysoko i spoczniemy głęboko, hej. Dobrze wiedziałem, co to znaczy. To on mi śpiewał: idą, idą, dzwonią im kajdany, idą, idą, drżą przed nimi pany — nie ma dla nich tam, nie boją się kuli, ni więzionych bram. Jak mi pierwszy raz wkładali kajdanki, czułem dreszcz wzruszenia; do dziś dnia kajdanki to jedyna biżuteria, jaką noszę. I powód do dumy. Ojciec mi tłumaczył, dlaczego nie palić: wsadzą cię do więzienia, zabiorą ci papierosy i cię załatwią. Ja rośłem do więzienia, do drukarni, do maszyny.

— Ale zacząłeś jako komunista. Czy może nie widziałeś różnicy?

— To jest zrozumiałe. Człowiek musi się w pewnym momencie zbuntować przeciwko swoim autorytetom. Jak się nie zbuntuje — do końca życia będzie kaleką. Znam takich ludzi — są okaleczeni. Ale bardzo szanowałem ojca, wobec czego moja akceptacja była próbą „wyprostowania” jego życiorysu. On był ochotnikiem w 1920 roku na front bolszewicki. Miał 15 lat i sfałszował papiery — wysłał kolegę za siebie na komisję. Skierowali go jako ochotnika do rozstrzeliwania dezertorów. Koszmarna

historia. Potem brał udział w powstaniach śląskich, w 1936 roku współpracował z komunistami. Mnie się wydawało, że to się wszystko ze sobą...

— Łączy?

— Właśnie nie. Że to jest sprzeczne, że ma niekonsekwentny życiorys. I zdawało mi się, że ja mu go wyprostuję. Mój akt komunizowania był takim aktem.

Telefon i znowu przerwa.

— Z punktu widzenia samej logiki koncepcja komunistyczna jest prosta. W odróżnieniu od socjalistycznej, polskiej, która ma sprzeczne wątki. Tu robimy rewolucję, tu walczymy o niepodległość, tu się bijemy z jakimiś bolszewikami... W dodatku PPS w tym czasie była partią rewolucyjną, więc jakby akceptowała rewolucję w Rosji.

— Tak, trochę sprzeczności w tym było.

— Właśnie. Humor z zeszytów szkolnych polega na tym, że mój życiorys — z pewnego punktu widzenia — można uznać dopiero za niekonsekwentny! Tatuś przy mnie to małe piwo! Jak się okazuje, nie można mieć „konsekwentnego życiorysu”, choć oczywiście istnieje inna konsekwencja, która w moim życiu była i jest bardzo wyraźna. Od zawsze: idea ruchu społecznego i walki o wolność. Tylko wtedy byłem jeszcze rewolucjonistą. Dość długo byłem, bo do „Listu otwartego”. Potem stopniowo odszedłem w imię tych zasad, które tu formułowałem. Rewolucja może być konieczna, ale zawsze rodzi zło i zawsze jest złem.

— Nie możesz powiedzieć, że wstydzisz się swojego komunizowania...

— Wstydzę, wstydzę się — przerywa nam gwałtownie. — Jak człowiek robi głupstwa, to się ich powinien wstydzić. Wstydzę się, ale ich nie ukrywam...

Telefon.

— Ale błyszczą Ci oczy, kiedy wspominasz te piękne czasy...

— Co??!! Nie, wcale mi nie błyszczą. Czasy ZMP-owskie były dla mnie skomplikowane — czasy strasznie trudnych wyborów moralnych, z którymi nie mogłem dać sobie rady. Ale na szczęście miałem ojca, z którym się kłóciłem. Każda nasza dyskusja tak się kończyła, że ja mówiłem: powiedz to swojej organizacji partyjnej (on się dał wtedy „zjednoczyć” i działał w PZPR), a on: donieś na mnie UB. Nie rozumieliśmy się zupełnie. Nie byłem „dziewiczy” — patrzyłem dość krytycznie i dość wcześniej zacząłem się buntować.

Wstydzę się wszystkiego, co robiłem głupio, tak jak wszystkich swoich błędów. Rzecz polega jednak na tym, że się na porażkach i błędach uczę. Chcę, żeby z tego była jakaś korzyść,

nie sama strata. Co zrobisz — nie odstanie się, ale w dalszym działaniu możesz tę swoją winę naprawić. Przynajmniej w jakimś stopniu.

— Kończąc ten okres „ewolucyjny”: powiedziałeś, że w 1965 roku przestałeś być rewolucjonistą...

— Nie, tego nie da się tak powiedzieć. To był proces, który się zaczął w '53 roku; wtedy po raz pierwszy wyleciałem z PZPR. W '56 roku przyjęto mnie ponownie i wyleciałem po raz drugi w 1965 po napisaniu wraz z Karolem Modzelewskim „Listu otwartego do członków PZPR”. Za ten list dostaliśmy po trzy lata, ale w tym liście byłem wciąż jeszcze marksistą i rewolucjonistą. Dopiero w więzieniu po wyroku za wydarzenia marcowe, na drodze czysto intelektualnej nastąpiło moje odejście od marksizmu i fascynacji rewolucją. Dokładnie powiedziałem to sobie w grudniu 1970 roku, parę dni przed rewoltą robotniczą na Wybrzeżu.

— A co to znaczy być socjalistą dzisiaj?

— Nie używałbym tego słowa, ponieważ nie wiem, co to znaczy.

— Koledzy założyli PPS. Jesteś sympatykiem PPS-u?

— No, jestem, ale jak widzisz nie wstąpiłem, bo uważam, że jest to formacja historyczna. A tak. Oni powołali tamten PPS. Świetnie ujął to Major z Pomarańczowej Alternatywy, powołując PPR. On tylko nie ma wiedzy historycznej, bo powinien powołać SDKPiL.

Wybuchamy śmiechem.

— On się bawi, ale doskonale odkrył ich anachroniczny charakter. To dziecko już przy porodzie miało skazę. Dlaczego? Bo powołali partię polityczną, czyli ugrupowanie, którego wspólnym mianownikiem była sympatia dla PPS. Czy w ten sposób można wyodrębnić grupę o dość jednorodnym politycznym programie? Nie! Nie można budować formuły politycznej na zasadzie przywiązania do jakiejś formacji historycznej. To są inne rzeczy.

— Jak widzisz się w panoramie opozycji? Kogo nie lubisz, co Ci się wydaje w opozycji szczególnie naganne? Gdzie widzisz wrogów, a gdzie sojuszników?

— Zaczniemy od tego, że nie czuję się niczym wrogiem. Ani Jaruzelskiego, ani moich kolegów w opozycji, którzy się być może za moich wrogów uważają. Byłoby mi nawet trudno ich wskazać. Leszek Moczulski parokrotnie deklarował, że mnie lubi. Ja go też lubię, więc o co chodzi? Nie, stanowczo nie czuję wrogości do ludzi, a jeśli idzie o moje niechęci — to opowiem anegdotę. W pierwszym dniu procesu KOR-u siedzie-

liśmy w sądzie na ławie oskarżonych: Adaś Michnik, Heniek Wujec, Zbyszek Romaszewski i ja. I milicjanci. A na wprost nas usiadł prokurator Kubala, który się bardzo żalił, że Adaś go nie lubi. Więc ja mówię do Adasia: „No, patrz, jaki miły prokurator Kubala. Cemu ty go nie lubisz?”. Na to Adaś: „Ja wiem, ty bardzo lubisz prokuratora Kubalę, SB, generała Jaruzelskiego — ty w ogóle wszystkich lubisz. Ty nie lubisz tylko mnie, Wujca i Romaszewskiego”.

Znowu się śmiejemy.

— I to jest prawda. Żywe niechęci i uczucia mogą budzić tylko przyjaciele, ludzie, na których liczę, z którymi się utożsamiam. Natomiast dlaczego mam nie lubić jakiegos ubeka? To przekracza moją wyobraźnię. Jeśli w mojej obstawie była dziewczyna — zawsze kupowałem jej kwiaty.

— Nie masz osobistych urazów do władzy?

— Absolutnie nie.

— A czy masz we władzy przyjaciół?

— Przyjaciół?...

— Dobrych znajomych, takich od flaszki, bo ja wiem od czego?

— Był taki czas — całe gierkowskie Biuro Polityczne, to byli moi kumple. Byli kumple. Ale byli... Oni mnie nienawidzą jak psa. Wydaje im się, że to ja zafundowałem im tę całą opozycję. Nie miałem z nimi żadnych kontaktów od czasu pierwszego pójścia do więzienia.

Teraz to inne czasy, inna ekipa — ja tam nikogo nie znam.

— Żywią do Ciebie osobistą niechęć?

— Myślę, że tak.

— Czy masz jakieś wyrobione odruchy wobec SB?

— Jestem wobec nich bardzo życzliwy, bo nie boję się każdego z nich z osobna. Boję się więzienia. Jeżeli zaś ktoś idzie na przesłuchanie — wiadomo co ma robić. Przepisy są jasne i nie ma co tu odkrywać Ameryki: nie powinien odpowiadać na żadne pytania. Jest też zalecone, aby nie prowadzić żadnych rozmów. Wiadomo, że technika śledztwa polega na tym, żeby cię ubek wprowadził tą rozmową w temat „swój”. Dobry powinien wprowadzić tak, że nawet się nie zorientujesz, kiedy wlażesz.

— Czy dużo jest takich „dobrych fachowców”?

— Mam wrażenie, że kiedyś było dużo, a teraz jest coraz mniej, ale to pewnie wynika z mojej techniki. Po prostu ci pierwsi mnie nauczili... Oni mnie jeszcze wpuszczali w maliny, ale potem mądrzałem i teraz wiem, kiedy on to zaczyna robić. Nie trzeba też składać żadnych wyjaśnień. I nie powinno się

rozmawiać. Ale zarazem głoszę taką zasadę, że powinienś być wobec nich taki, jaki jesteś. Pilnować się i jeszcze udawać kogoś innego, to jest za duży ciężar. Więc jestem sobą — lubię go, śmieję się z nim, dowcipy mu opowiadam. Mogę z nim podyskutować o polityce, czemu nie? To jest niebezpieczne, wiem o tym, ale wykonałem taki rachunek i wiem na pewno, że w dłuższym śledztwie nie można udawać, trzeba być sobą; milczeć w sprawie i we wszystkim, co z nią związane, a poza tym — jak komu wygodnie.

— Ale na pewno zdarzają się tacy ubecy, którzy próbują złamać Cię krzykiem, zastraszyć Cię — co wówczas robisz?

— Był jeden taki. Jeden jedyny. Milczałem. Wtedy jest łatwo milczeć.

— To esbecja chyba Cię lubi?

— Nie wiem. Pamiętaj, że to jest gra.

— Czy należy ich doceniać?

— Myślę, że tak...

Telefon.

— A jak w życiu? Masz na pewno podsłuch w domu. Jak sądzisz, czy to jest permanentne nagrywanie, czy też nasłuch?

— Nie wiem. Kiedyś był permanentny nasłuch. Wiem, bo miałem taką przygodę... Potrzebowałem coś pilnego i tajnego przekazać Antoniemu Pajdakowi i wysłałem do niego z kartką Maciusia. Maciuś go nie zastał, wrócił i mówi: „Włożyłem w drzwi”. Więc ja mówię: leć i wyjmij. I Maciuś pobiegł.

— I już nie było?

— Była, ale dobiegł parę metrów przed SB. A to jest tylko parę kroków. Natomiast teraz — myślę, że nie; przecież nie odgrywam już takiej roli. Wtedy był gorący czas KOR-u, wielkie napięcie, więc to było stale. Był nawet taki czas, że podwórko było nasłuchiwane.

— Teraz jaki masz podsłuch? Tradycyjnie telefoniczny?

— Nie, nie. Podsłuch jest wszędzie — w ścianie. Już kilka takich aparatów wyszło ze ściany. Bo one „chodzą w ścianie”.

— Jak to „chodzą w ścianie”?

— To jest takie ustrojstwo, w którym nie ma metalu, więc nie można tego wykryć, no i to chodzi w ścianie i w pewnym miejscu dochodzi do tynku. Już były trzy wypadki, że wyszedł za daleko. Raz w Radomiu, u pewnej dziewczyny, która mieszkała obok zakładu pogrzebowego i nagle szafa zaczęła jej latać. Mama mówi: „duchy, duchy...”, odsuwają szafę, a tam ten aparat wychodzi.

— I daje się z tym żyć tak spokojnie?

— No, już się przyzwyczaiłem. Założono mi to w 1961 roku, o czym mnie uprzedził funkcjonariusz, który mi to zakładał.

— Dwadzieścia lat.

— Dokładnie dwadzieścia siedem. Już się przyzwyczaiłem. Nie powiem tu niczego, czego nie powinienem powiedzieć — mam to już w tyle głowy. A poza tym — mnie to nie przeszkadza nawet w życiu osobistym. Naprawdę przyzwyczaiłem się.

— No jasne; niech oni się wstydzą...

— Ja o tym nie myślę.

— Co tu można mówić?

— Jak Zbyszek Bujak się ukrywał, to miałem takie powiedzenie: wszystko, tylko nie adres Bujaka...

Oczywiście jest jeszcze parę technicznych, prostych kwestii — jeśli coś robisz, o czym nie chciałbyś ich z góry uprzedzić — lepiej o tym nie mów. To jest oczywiście trudne, bo na przykład wychodzisz na spacer, a tu ci wszędzie poukładali tej aparatury...

— To na ulicy też Cię podsłuchują?

— Oczywiście, mam na to dowody... Nawet opowiem, bo to jest trochę zabawne.

To było przed strajkiem w stoczni. Pomyślałem sobie nagle w nocy, że jak zaczną pertraktować z dyrekcją, to ich ta dyrekcja wykołuje. Jedynym człowiekiem, który się nie da wykołować jest Wałęsa. Więc niech on od rana będzie w stoczni. Rano się obudziłem z tą myślą, zadzwoniłem do jednych znajomych, o których pomyślałem, że ich wyślę — a tu było pełno ludzi — czasy informacji strajkowej — więc jak przyszli, wyszliśmy na podwórko. To był lipiec '80, tu było biuro, maszyny pracowały bez przerwy — tak jak my. Na ucho, przy śmietniku powiedziałem im, o co chodzi. Akurat wtedy Basia Toruńczyk jechała do Paryża i robiła tu w sąsiedztwie bankiet pożegnalny i wszyscy jej goście tu zachodzili, tak, że w czasie tych trzech godzin jakieś 100 osób się tu przewinęło. Za dwa dni dali mi znać, że strajk się zaczął, że Wałęsa jest w stoczni. Pomyślałem — załatwili! W dwie minuty po tej informacji dzwoni do mnie ów znajomy i mówi: — Jacku, myśmy nic nie załatwili, bo nas zatrzymali zaraz po wyjściu od ciebie... Ze stu osób zatrzymano tylko tych dwoje. Ale to się akurat dobrze stało — Lech sam to wymyślił, sam poszedł. Moja rada była niepotrzebna.

— Czy rozpoznajesz tajniaków na ulicy?

— Chyba tak.

— Dlatego, że ich znasz z widzenia, czy też jest jakiś sposób na rozpoznawanie tajniaków?

— Był taki czas, że ja wszystkie swoje ekipy dobrze znałem. Trzymali się takiej reguły: zmieniali ludzi rano i kiedy wycho-

dziłem z domu, przejeżdżali samochodem. Zawsze w nim siedział jeden stary, trzech nowych. Więc wychodząc z domu czekałem na ten samochód. Patrzyłem, zapamiętywałem i już wiedziałem, kto jest kto. Zobaczenie „w naturze” jest konieczne, bo zdjęcie nie daje wcale gwarancji poznania. Miałem kiedyś w Szczecinie taką przygodę: wychodziłem zewnętrznymi schodami domu, a oni stali naprzeciw. Dwóch. Stali i patrzyli na mnie. W pewnym momencie wyjęli zdjęcie i... nic.

— Niewiarygodne...

— Poza tym — to jest następna historyjka — stałem kiedyś na postoju taksówek i podszedł do mnie Andrzej Seweryn i pyta: Jesteś obstawiony? Jestem — mówię. Słuchaj — mówi na to Seweryn — przecież jak oni cię obstawiają, to muszą kogoś grać — przechodnia. To mój zawód. Ja ich spróbuję rozpoznać. I rozpoznał. Wszystkich!

Wybuchamy śmiechem.

— Więc jest sposób. Tylko trzeba mieć bardzo wyczulone oko. Tak, ja ich rozpoznaję, ale przysiąc — nie mogę. A tu zaczyna się takie niebezpieczeństwo: jak uważasz, że jesteś obstawiony i zaczynasz szukać obstawy, wszyscy ci się nią wydają. Może też być na odwrót — wydaje ci się, że ich nie ma — a są. Miałem już kilka podobnych numerów. Oczywiście, jeżeli poświęcisz na rozpoznanie wiele czasu — możesz prawie na pewno powiedzieć, że są; natomiast uznać z całą pewnością, że ich nie ma — nikomu bym nie radził. Poza tak zwanymi „spadami” — bo jak „spad” jest dobrze przygotowany... To jest wykorzystanie różnic ruchu — na przykład: ja zbiegam schodami do miejsca, w którym czeka na mnie samochód, a oni muszą, żeby tam się dostać, objechać cały szmat drogi, co im zajmuje 15 minut. Jeżeli z góry nie obstawili tego miejsca, to są przegrani. Jak robisz parę takich „przeskoków” w ciągu dnia i masz przyjaciół, którzy na dodatek pójdą sprawdzić, czy dom, w którym masz spać jest wolny — a to w nocy zawsze da się zrobić — możesz spokojnie na drugi dzień jechać na miejsce.

Przejdźmy teraz może do J.K. prywatnie. Jak to jest z Twoim synem, który zdaje się też wyrósł na opozycjonistę i czym on się od Ciebie różni?

— Nie, Maciek nie jest zawodowym opozycjonistą. Ma dwoje dzieci, żonę. Ona studiuje, on zarabia na chleb, maluje mieszkania, zajmuje się dziećmi, gotuje... Na nic więcej mu nie starcza czasu. To oznacza tylko tyle, że on nie ma politycznego temperamentu. Owszem, jak kogoś wsadzą, pobiją — zaprotes-

tuje — jest po prostu przyzwoitym człowiekiem, więc zachowuje się przyzwoicie. Jest czytany, ma wyrobione poglądy, ale jak rozumiem — polityka to nie jest pasja jego życia. To pewien rodzaj buntu przeciwko swoim rodzicom — czy może tylko ojcu. Chce dać swoim dzieciom to, czego jemu najbardziej brakowało. Bardzo to sensowny bunt, bo konstruktywny.

— A wnuczeta?

— A wnuczeta mają 3-4 lata — na politykę to jeszcze za wcześnie!

— Dlaczego nigdy nie chciałeś się wciągnąć w żadne władze?

— Nie umiem chodzić w marynarce. Dzisiaj to już mało znaczy, ale kiedyś znaczyło bardzo dużo. A chodzi tu o nieformalny sposób życia, bycia... Nie znoszę żadnej pompy — ani oficjalnej, ani nieoficjalnej, żadnej reprezentacji, żadnych nabożeństw — ani rzymskich, ani krymskich, znaczków, orderów, odznak...

— Ale to przecież Ty podobno układałeś 13 grudnia listę rządu.

— Nigdy nie układałem listy żadnego rządu. Do 13 grudnia '81 byłem zwolennikiem idei Rządu Narodowego, to jest takiego, którego cały skład uzyskałby aprobatę Solidarności, obozu rządowego i Episkopatu. Podkreślałem, że nie byłoby w nim miejsca dla takich ludzi jak ja czy Moczulski. Była to jedyna szansa, jedyne wyjście. Miała tylko jedną wadę polityczną — była nie do przyjęcia i dla rządu i dla Solidarności. Ale oczywiście było to jedyne wyjście, bo pomijając charakter komunistów, przyczyną 13 grudnia był kryzys władzy. Póki istniał kryzys władzy, nie było mowy o żadnym konstruktywnym działaniu na większą skalę. Nie może być tak, że istnieje jedna wielka Solidarność i ta rządzi, nie będąc rządem. Niezbędna była władza obdarzona zaufaniem społeczeństwa. Należało rozwiązać ten problem, bo póki się go nie rozwiązało, sytuacja się pogarszała i szliśmy w kierunku 13 grudnia. Skądinąd wiadomo, że oni takie plany mieli już w '80 roku w sierpniu, czy na początku września, jak pisał Kukliński. Uważam, że bez względu na sytuację należy zawsze robić swoje. Nawet jak się wie, że nie ma ratunku, starać się ratować. Tekst „Rząd Narodowy”, który został skonfiskowany w momencie wkroczenia SB, kończyłem zdaniem: wprawdzie jest już może za późno, ale rokować zawsze trzeba.

— Czy utrzymujesz się z tego, że jesteś działaczem opozycji?

— Nie, utrzymuję się z tego, że piszę, z publicystyki. Dłu-

gie lata robiłem cuda, żeby się utrzymać. Powieści kryminalne pisałem...

— Coś takiego!

— Tak, w filmie występowałem; metodą uczestniczącą prowadziłem badanie w PGR-ach, pracując jako robotnik.

— A ostatni raz gdzie i kiedy pracowałeś na etacie?

— Pracowałem jako redaktor w *Na przelaj*, potem w *Drużynie*. To wszystko działo się na przestrzeni dwóch lat — równocześnie pracowałem w szkole. W 1957 skończyłem studia, a w '61 wyleciałem z posady. To była moja ostatnia praca. Potem zarabiałem w najróżniejszy sposób aż do czasu, kiedy zacząłem publikować na Zachodzie. Robię to bardzo rzadko, więc dostaję za to duży szmal i mogę jakoś z tego żyć.

— Ale nie zawsze publikowałeś na Zachodzie. Myślę, że były i czasy ciężkie pod względem finansowym?

— Tak, ale ja to mimo wszystko wolę, niż stałe zatrudnienie. Ciężko pracuję — ale u siebie.

O wyczerpaniu intelektualnym nie mnie sądzić. Po śmierci Gajki jestem w bardzo trudnej sytuacji — tak, jakbym teraz żył połową. Analogia do lat 60-tych jest niewłaściwa. Wtedy opozycja była w ofensywie. Teraz jest wciąż jeszcze w defensywie. Tak się musiało stać po zamachu wojennym — cały czas to powtarzałem. Władza straciła wrażliwość na nacisk społeczny. Pokojowa opozycja — a taką jesteśmy — była bezsilna wobec władzy. To był czas pata — naszym zadaniem było trwać. Potem pojawiła się szansa działania i trzeba było wykonać wielki zakręt, ale my nie bardzo umiemy to robić — opisałem to w „Krajobrazie po bitwie”. Przypuszczam, że moja rola jest taka sama jak była — rola człowieka, który diagnozuje i proponuje rozwiązania. Tylko sytuacja jest trochę inna.

Telefon.

— No właśnie: sytuacja. Czy jesteśmy w getcie?

— Oczywiście, że jesteśmy. To, co się zdarzyło niedawno, jest zjawiskiem charakterystycznym. W niedzielę ogłoszono podwyżki cen — jak nie huknęło demonstracjami! W Gdańsku, w Warszawie, we Wrocławiu powołują komitety strajkowe: jutro strajk — i co? Nie ma żadnego strajku. I to jest właśnie obraz różnicy postaw między elitami tego kraju, które Solidarność umasowiła, a milczącą resztą społeczeństwa, która duchem jest wciąż jeszcze po bitwie, podczas gdy tamci są przed bitwą. Działacze są sfrustrowani swoją bezsilnością, tym, że nauczyli się mówić w imieniu całego narodu, a tu nagle okazuje się, że naród za

nimi nie idzie. A poza tym, ponieważ kształtowali się podczas wojny — bo wtedy wyrastał główny trzon Solidarności — to mają taką wizję świata: albo my wygramy, albo oni. Tymczasem sytuacja poszła w całkiem inną stronę właśnie na skutek Solidarności. Wiele zmieniło się w naszej codzienności na korzyść, ale ludzie opozycji nie są w stanie tego zrozumieć, bo skoro nie myśmy wygrali — to znaczy, że oni. Skoro nie zmieniło się całkiem — to znaczy, że nic się nie zmieniło. Wszystko lub nic. Frustracja występuje też na pewno po stronie elity władzy, aparatu — oni już się przekonali, że terror prowadzi donikąd (co prawda są i tacy, którzy uważają, że dlatego donikąd, bo był za mały, ale to jednak mniejszość) i wydaje im się, że donikąd prowadzi liberalizm. Sytuacja gospodarcza jest po prostu beznadziejna — oni to widzą.

Milcząca większość nie ufa władzy i nie ufa opozycji. Władzy w tym sensie, że nie ma czystych intencji i nie potrafi nic zrobić; opozycji nie ufa, bo nie myśli, by coś tutaj mogło się zmienić na lepsze. Jest taki stan beznadziei z imperatywem, że ma być spokój i żeby wrywać swojego dobra, ile się tylko da. I wszyscy to robią, a co aktywniejsi mogą wiele wyrwać. Większość może tylko gonić ceny. To rozładowuje społeczne napięcie, ale tylko do momentu, kiedy wszyscy poczują, że nie ma sensu gonić — a do tego spirala inflacji na pewno doprowadzi. I to też będzie stan frustracji. Słowem: aparat drży przed wybuchem, opozycja ma nadzieję na wybuch. Masy strasznie nie chcą wybuchu.

— Ale Ty też nie chcesz wybuchu...

— Oczywiście, że nie. Ze spontanicznymi wybuchami społecznego gniewu mieliśmy do czynienia w czerwcu '56, grudniu '70, czerwcu '76 i wreszcie w lipcu-sierpniu '80 roku. Wszystkie one zostały brutalnie stłumione; byli zabici, ranni, zapelniali się więzienia, masowo zwalniano z pracy... Z tym, że w sierpniu '80 wojnę ze społeczeństwem odłożono na 16 miesięcy. Po każdym stłumionym buncie następowała mniejsza czy większa liberalizacja, a to stąd, że rządzącym komunistom zależało na propagandowym mandacie władzy robotniczej. Kiedy więc już przepuścili walczących robotników przez maszyny do mięsa, zabiegali o to, by znów ten mandat odzyskać. Te zabiegi — czyli liberalizacja — były im potrzebne po to, aby przyciągnąć część społeczeństwa, a część zneutralizować. Trudno jest bowiem rządzić społeczeństwem, które władzy nienawidzi. Słowem, sukcesy dotychczasowych wybuchów nie były w żadnym razie zwycięstwem siły, ale połączeniem nacisku społecznego wyrażonego

m.in. w poległych i uwięzionych, torturowanych, z wrażliwością władzy na taki nacisk. Obecnie komuniści władzę swoją zdobyli przemocą po 13 grudnia '81 i wciąż trzymają w pogotowiu siły i środki, którymi tego dokonali. Solidarność zabrała im mandat robotniczej władzy; dziś do stracenia mają tylko to, co zyskali po amnestii z jesieni '86. Przysnacie, że to niewiele. Zatem szansa na to, że po zmiążdżeniu ewentualnego buntu społecznego nastąpi liberalizacja idąca dalej niż obecnie jest znikoma. Liczyć na to, to tyle, co planować budżet rodzinny w oparciu o wygraną w toto-lotka.

— To co robić?

— Programem Solidarności i opozycji demokratycznej na dziś powinna być obrona poziomu płacy realnej, zwłaszcza tych najślabszych — służby zdrowia, włóknienek — oraz walka o demokratyzację w zakładzie pracy, w szkole, wyższej uczelni, wsi, miasteczku. Jest to sposób wywierania skutecznego nacisku na władzę i zarazem budowania ruchu, który potrafi wykorzystać każdą nadarżającą się okazję, sprzyjającą sytuacji, a zminimalizować koszty w sytuacji niekorzystnej. Prawdopodobnie najbardziej dla nas korzystna sytuacja to wybuchy społecznego niepokoju w ZSSR i innych krajach tzw. obozu. Na taką okazję — a może się ona nadarżyć już całkiem niedługo — powinniśmy być gotowi do wymuszenia na władzy — wówczas najbardziej ustępliwej — wszystkiego, co społeczeństwu polskiemu niezbędne do życia. Jak to zrobić? Strajkiem, zapowiedzią strajku, demonstracjami...

— Co wówczas należałoby wywalczyć?

— To już temat na inną rozmowę. Powiem tylko, że bez władzy obdarzonej zaufaniem nie ma mowy o odbudowie kraju zrujnowanego ponad 40-letnimi rządami komunistów. Pewnie więc trzeba będzie wrócić do koncepcji rządu narodowego, o której tu mówiłem.

— Na koniec: czy popularność Ci nie przeszkadza i czy nie zaczepiają Cię ludzie na ulicy? Bo buzię masz charakterystyczną.

— Czasami trochę męczy, ale na ogół bardzo cieszy.

— A kiedy wyjdą Twoje wspomnienia?

— To nie są wspomnienia, to jest książka, w której próbuję powiedzieć to, czego się dowiedziałem o życiu. To jest wykład pewnej koncepcji polityki, działania, wychowania. Wspomnienia są tutaj pretekstem. Był taki wywiad w *Polityce*: Kazimierz Kutz rozmawiał z długoletnim przewodniczącym WRN na Śląsku, Ziętkiem, i zapytał go, czy dopracował się w życiu jakiejs prawdy.

A on na to: „Wiesz Kaziu, im dłużej żyję, tym lepiej wiem, że na kaca najlepsze jest zimne piwo!”.

— I Ty też to na kaca stosujesz?

— Ja nie miewam kaca.

— Żadnego? Moralnego też nigdy nie miałeś?

— Cały czas żyję w ciągłym rachunku sumienia. Tyle tylko, że mam taką postawę wobec winy, o której już tu nieraz mówiłem: z winy robię program, działanie, zadanie. Jak się z niej robi działanie, wtedy można przy niej żyć i nie dostać fioła.

Marzec 1988

O WOLNOŚCI PISARZA

ROZMOWA Z MARKIEM NOWAKOWSKIM

— Czy odpowiada mi termin „realizm”, pojmowanie literatury jako zwierciadła, przechadzającego się po gościńcu? Musimy jedną rzecz wyjaśnić. Realizm to pojęcie bardzo szerokie. Realizm jest dla mnie punktem wyjścia do każdej literatury — nawet do literatury Kafki. Literatura powstaje, gdy ma się za sobą doświadczenia i obserwacje życia, doświadczenia silne, faktycznie przeżyte, intensywne. To zwierciadło ma odbijać wydarzenia dziejące się na zewnątrz piszącego. Natomiast dla mnie realizm, to jest też to, co pisze człowiek ze swego wnętrza, ze swoich bebeczów. Jeśli się trzyma prawdy swoich przeżyć, jeśli walczy o nią... A prawda to znów względne pojęcie. Co to jest prawda literacka? Prawda literacka to dobra architektura tekstu.

Na ulicy skwar. Drgające powietrze. Duszno. Tu, w pokoju, panuje półmrok, na ścianach „orwellowskie” grafiki Lebensteina. Nowakowski siedzi za biurkiem, charakterystyczny „język”, gęsta, spora broda. Zaciąga z lekka, jak by tu rzec, po knajacku. Pali papierosa za papierosem. My pijemy herbatę na przemian z wodą mineralną.

„W upały najlepsza jest gorąca herbata” — mówi gospodarz.

Już poprzedniego dnia, kiedy umawialiśmy się z nim na rozmowę, zgadało się trochę o literaturze. Podśmiewał się trochę z „uczonych” metod badań literackich i z hermetyczności i płytkości literatury II obiegu. I w ogóle literatury polskiej ostatniego okresu. Z nowych, obiecujących nazwisk zauważył jedno opowiadanie Eustachego Rylskiego pt. „Stankiewicz”. Ten typ literatury mu odpowiada, odpowiada temu, co przed chwilą próbował sformułować. Nam zapachniało to realizmem.

— Ale mówił Pan wczoraj, że literatura nie może być projekcją, stwarzaniem światów...

— Nie, to nie jest sprzeczność. Ja wychodzę z jakiejś historii, anegdota, zdarzenia, faktu. To jest zaczepem, fundamentem. Ale dalej robię z tym różne rzeczy. Mogę je obudować fikcją, moją wyobraźnią, moimi przypuszczeniami czy fantazją, innymi strzępami zdarzeń, które widziałem. I w mózdzierzu jakby je ukręcam. To jest wtedy mój realizm. To nie jest dokładnie to, co się działo rzeczywiście. To, co się działo rzeczywiście, jest punktem wyjścia, momentem, który otworzył wyobraźnię. Historia, która się przydarza to punkt wyjścia, światełko, które się zapala (mówiąc językiem technicznym), te żarówki, guziczki, urządzenia, klawisze magnetofonu. Zapaliło się światełko — przyrząd zaczął chodzić. A potem on chodzi autonomicznie, nie jest związany z tym wydarzeniem. Wydarzenie dało mu impuls, a potem różnie się dzieje. Obrasta, obrasta. Śmieję się z tych głabów, którzy myślą, że ten mój realizm to jest tak, że ja coś widziałem i dokładnie to opisuję — *toczka w toczkę*. A to wcale nie jest tak. Pytano o to od lat i mnie nudzi to pytanie, bo to jest pytanie prymitywne.

— To drewniane pytanie — kontynuuje Nowakowski — zakłada brak swobodnej wyobraźni u piszącego. A przecież podstawą literatury jest jednak wyobraźnia i jej swoboda, wolne wirowanie. To złudzenie, że jestem taki dokładny opisywacz tego, co się działo, wynika stąd, że piszę stylistyką jakby *quasi*-dokumentu.

Gwoli jasności: mieliśmy całą moc tych pytań: jaka była Piękna Iza, czy do dzisiaj Bimber ładuje z byka i ile kiedyś wypijał? Trudno, jesteśmy prymitywy. Pytania upadają, nim zdążyło do nich dojść, a my dyplomatycznie pochylamy się nad herbata.

— Ja mam trudność pisania, nie mam wielosłowie w głowie, muszę dobierać słowa. Mnie się ciężko pisze, nie płynie mi to monologami, strumieniami czy sraczką. Rozumiemy się? Trzeba szukać. Czasem bzdurne słowa odrzucać, szukać takich, które przylegają. To stwarza dla niektórych, takich dość jednoznacznie traktujących życie czytelników, pozór opisu, faktografii. A to nie jest tak — ja sobie kręcę tym wszystkim w tym mózdzierzu. Tak, że z tym realizmem — to sprawa otwarta i po prostu nie szufladkujemy. Mówiono kiedyś o pisarstwie Marqueza „realizm magiczny”. Ale co to jest? Widzicie! On korzysta z rzeczywistości, to jest osadzone mocno w pejzażu życia południowo-amerykańskiego. Tak? W tej Kolumbii jego. W wojnach, które tam były. W rozrzuconych na pampasach i w dżunglach hacjen-

dach, w historiach rodzinnych. Ale jak on to wszystko potem uskrzydla! Tam czas się nie liczy, tam żyją po tysiąc lat, czy po sto. Jakieś żółte deszcze padają. Robi co chce ze światem, ale korzysta z realiów świata.

— Tak więc formułka realizmu nie załatwia sprawy, bo na przykład socrealizm...

— O tym w ogóle nie ma co mówić. Dla mnie to było najmniej interesujące, bo najmniej interesująca była ilustracyjność tez. Była teza, którą trzeba był obrazkami przekazać... I powstawały historyjki.

— Nabokov, w tej broszurce, którą Panu sprezentowaliśmy, występuje przeciwko „pisarzom idei”. Pisarz chce coś powiedzieć, ma coś ważnego do przekazania czytelnikom i dobiera do tego fabułę, bohaterów, którzy stają przed czytelnikiem i przedstawiają opisanie autora na dany temat.

— Bo Nabokov był przede wszystkim estetą, dbał o piękno, narrację, przejrzystą konstrukcję. Ale to są zimne konstrukcje, lodowate, jakby z kryształów czy bloków lodu układał coś wspólnego. Ale to jest inny rodzaj pisarstwa. Ja na przykład cenię niezwykle jego autobiografię „Tamte brzegi”. Przepiękna, ale panowie — tam jest też realizm! To życie, dzieciństwo i młodość, które zapamiętał, które rekonstruuje i przetwarza.

— Ale jakie jest Pana zdanie na temat „pisarstwa idei”?

— Jeśli *a priori* jest to idea, to nie mam o czymś takim dobrego zdania. Idea powinna wynikać. Pisarz powinien być bardzo ostrożny wobec wszelkich idei, bo one pożerają literaturę. Idea robi z literatury fagasa, sługę i kończy się wolność pisarza, prawdziwe żeglowanie po papierze. Robi się niewola, bo masz tę ideę jak gilotynę nad sobą. Może idea wynikać z moich doświadczeń, mogą one zgadzać się z jakąś ideą, ale żeby literatura miała zaczynać się od idei — to nie, to byłaby podejrzana sprawa. Mnie na przykład zarzucano, że jestem „pisarzem idei” mówię w cudzysłowie, po tych opowiadaniach o stanie wojennym, po „Raporcie...”. Im się wydawało, że piszę, z góry zakładając jakąś rację, której jestem rzecznikiem. A to nie było tak — to był opis sytuacji, która była dla mnie nowa, sytuacji w postaci stanu wojennego. Patrzyłem pod kątem: jak działa na rzeczywistość stan wojenny. O to mi chodziło. Jakie powoduje relacje ludzkie, jak działa na ludzi, na myślenie. A niektórzy głupcy zakładali, że jestem pisarzem idei Solidarności, że jestem nawet taki socrealista *à rebours*, czyli socrealista w służbie Solidarności. A ja opisywałem życie zwykłych ludzi. Nie wielkich działaczy i idee. To była mozaika codzienności.

Na biurku leżą reprezentacyjne numery *Promienistych* i kilka broszur, wśród nich wspomniany Nabokov. Musieliśmy się jakoś zareklamować, bo namówić Nowakowskiego do rozmowy jest niezmiernie trudno.

— Dałem ostatnio wywiad Jugosłowianom, zresztą, nie wypadało odmówić — wydali tam właśnie „Księcia nocy”. Bardzo ładnie się to nazywa — „Knjaz tminy” — książę ćmy... I teraz widziałem ten wywiad już wydrukowany. Dziwny tytuł ma — „Sam protiv partiju” — Nowakowski śmieje się. — Nie bardzo wiem, co by to mogło znaczyć, ale mam przeczucie, że nie to chciałem powiedzieć.

— Niech się Pan nie martwi; zasadą naszej rozmowy będzie: tylko nie o polityce.

— Hmm, zobaczymy, zobaczymy coście warci. Musimy się wyczuć, zupełnie się przecież nie znamy.

Teraz, kiedy Nowakowski mówi o „Raporcie...”, myślę, że choć te opowiadania podobały mi się najmniej spośród wszystkich przeczytanych, to mają moim zdaniem jedną ciekawą, wspólną cechę: czarne postrzeganie rzeczywistości. Mówię to i pytam:

— Tak na marginesie — czy w życiu prywatnym też jest Pan pesymistą?

Nowakowski jest bardzo odprężony.

— Byłem kiedyś tam w jakichś tam celach na wsi polskiej. Włączyłem się po wiochach i poznałem starego człowieka, wioskowego samotnika, starego kawalera, dziwaka, który tylko ryby i wódkę. Tam była rzeka, rozlewiska i on się tym zajmował. Mieszkał przy bracie, który miał dom, rodzinę, gospodarstwo. A on — abnegat wiejski. Wtedy właśnie wychodzili ludzie na księżyc — on w to absolutnie nie wierzył. „Co to jest — mówi — pokazali jakichś żabów”. A jak opowiadał! Był człowiekiem doświadczonym, rok '20 i wojna z bolszewikami, potem '39 i także różne perypetie. I nagle barwne opowieści ze swego życia skwitował: Bo świat to jest bardach, a ludzie bładzie są. Bardzo mnie to zaintrygowało. Bo on był ponury, milczący, ale nie gorzki. Miał taką spokojną ponurość. I to też, że on sobie życia żadnego nie chciał układać, co na wsi jest jeszcze bardziej nietypowe niż w mieście.

— Tam presja ogromna...

— Prawda? Presja, ma Pan rację, tradycji czy czegoś. Taki wiejski abnegat.

— A Pan jest miejskim abnegatem?

— Nie — uśmiecha się.

— Ale to się Panu spodobało?

— Nie, ja to tylko tak wam opowiadałem w upale, tak *en passant*.

My, gderliwie:

— Ale co jest z tym Pana pesymizmem? Podobno był Pan zdziwiony listami Henryka Wujca, które się ukazały w *Wezwaniu*... Że one są takie optymistyczne, pogodne...

— Nie byłem zdziwiony, to za dużo powiedziane. To mnie zainteresowało, zainteresowała mnie ewentualność, że Wujec jest formacją czystą, pogodną, jasną. Psychicznie. Ale potem doszliśmy do wniosku, że te listy były też trochę takim sposobem na pokrzepienie się w warunkach więziennych. I na pokrzepienie bliskich, którzy przecież martwią się o tego, który jest w pudle. Ja ciągle będę uciekał od sformułowań „pesymista — optymista”. Kto to powiedział... Jakiś mędrzec — może Nietzsche — że zna jedną rzecz gorszą niż pesymizm — to optymizm.

— No to wobec tego dlaczego...

Nowakowski ciągle przerywa.

— Mnie interesuje życie ludzkie jako ślepe, chaotyczne, pozornie celowe, a często bezcelowe pętanie się po tej ziemi.

— Dlaczego zajmował się Pan w tych wcześniejszych opowiadaniach...

— Znowu przerwał:

— Po nic, donikąd — że użyję takiego patetycznego określenia... Ha, ha, ha — śmieje się. Panowie, bo was nafaszeruję dekadenco-nihilistyczną...

— Tak właśnie się nam Pan kojarzy. Tylko tak dalej...

— Wszystko jest jakąś rolą, wszystko jakąś kreacją. Może jestem chimerykiem, nastrojowcem. Wszystko zależy od dnia. Kto wie? — śmieje się.

— Zaraz, zaraz. Przypomnijmy Pana wcześniejsze opowiadania, jakbyśmy powiedzieli, lumpowskie. Dlaczego właśnie o tym? No, pewnie — może Pan powiedzieć, nie wiem, bo wydało mi się to ciekawe.

— Ale pytacie panowie tym razem jak dzieci. Ja panów dotąd poważnie traktowałem. Panowie, dobrze, że jesteście z *Promienistych*. Dzieci po prostu.

Denerwujemy się. My mu tu zaraz... Spoglądamy na siebie i... parskamy śmiechem.

— Nie pisałem z wyboru. Mówiłem, że zaczyna się od tego, co się zna.

Patrzemy wyczekująco i chciwie. No, zacznijże w końcu te ploty, anegdoty, samo życie.

— To był mój świat. Byłem chłopakiem przedmieść. To

nie było ekstrawaganckie z mojej strony. To nie były opowiadania wydumane, żeby ludzi przerażać, straszyć, zadziwiać. Nie egzotyczne, one były przecież szare. Szare, bez wysokiego nieba, małe sprawy, takie właśnie chodzenie po lepie, tak? Chodzenie much jeszcze niezupełnie zatrzymanych przez lep. O tym pisałem, bo to znałem, to mnie otaczało, to mi się wydawało życiem. Prawdziwym. Może to też była swoista forma ucieczki — to już teraz mówię, po latach — od świata zunifikowanego, od świata zorganizowanego, tego, który był wtedy powszechny. To był okres panowania Stalina, szczytowa era tego ustroju, pełna rozmachu. Świat był zamknięty. Pod szkłem. Życie duszne, jednakowe zachowanie...

— Porządek...

— Porządek. Jednakowe reakcje, jednakowe działania. To była nuda, jeszcze gorsza niż teraz, ohydna. Przy tym świat bezkarny, bo jak się było ZMP-owcem, to można było wszystko robić i nic nie groziło. Może jako młody człowiek szukałem wolnego życia? A to było w jakiś sposób wolne. Tam młot polityki nie docierał, tam ludzie żyli jeszcze w swoich enklawach. Jeszcze była ciągłość, wielka pamięć przedwojennych czasów. Tradycja. To są korzenie. A tam chodziły legendy o przedwojennych złodziejach, tam byli ludzie, którzy przed wojną „chodzili na roboty”. To był świat życia nieuporządkowanego, nieuregulowanego, niespacyfikowanego i świat pamięci. Dużo pamięci było o przeszłości. Złodziejskiej czy jakiejś tam innej. Ale pamięci, a ten świat, który nam fundowano, był światem bez pamięci. Zakładał wszystko od nowa — tak jak mówiłem wczoraj o tych rewolucjach. Wszystko od nowa budujemy, my na nowo, my — wielcy architekci. A wszyscy, którzy są innych poglądów — to reakcja, wrogowie, gady. Miażdżyć, szarpać, kończyć, likwidować. Ja też się wtedy bawiłem w ZMP, oczywiście. Ale to dla mnie, cieszę się z tego, była zabawa. Nie mam sobie nic do zarzucenia, nie mam potrzeby robić teraz ekspiacji, jakichś analiz, dlaczego to było. Początkowo wydawało się to barwą, wyzwaniem, rewolucją właśnie. Rzeczywistą — że przeciw wszystkiemu. Bo rodzice, moje środowisko — miało inne poglądy, więc byłem zdania, że to jest bunt.

— Młodość!

— Tak, bunt młodości. Przeciw normom zastanym. Próba jakichś nowych, orlich lotów, tak? Ci, co są starsi, wydają się mułami już przypisanymi do kieratu, tak? A tu mi się wydawało, że ZMP jest sprawą wielkiej przygody. Bawiłem się w to, byłem działaczem, jeździłem na wieś, namawiałem do kołchozów,

wygłaszałem pogadanki, chodziłem po hotelach robotniczych. Byłem działaczem — instruktorem ZMP. Byłem etatowym przewodniczącym ZMP w LOT. Zabawa trwała jakiś rok, czy półtora, może dwa. I równocześnie zacząłem się coraz bardziej wgłębiać, jak to się mówi szablonowym językiem, w świat mętów, półświatków. To ciekawe — będąc działaczem tak porównywałem. I jeszcze będąc działaczem zacząłem głębiej w to wchodzić. I zupełnie odszedłem, rzuciłem ZMP jak dziwkę. I te kolory czerwone. Nie wybór jakiś świadomy, że ja, bojownik, walczę. To mi się wydawało ciekawsze, a to nudne, jałowe, więc rzuciłem. Po prostu rzuciłem. I to dla mnie była wolność, miałem wybór — widzicie? Kochani, widzicie — to wolność. Nie dałem się. I złodziejszczyzna, przedmieście, więzienia, świat urków, dziwek, burdeli, melin, paserów. Tu istniał jeszcze honor — nie wolno kapować. Kapuś to kurwa. To było cudowne. A tam mówiono, że trzeba kapować. Podśłuchiwać nauczycieli, patrzeć, obserwować. Wszystko było w opozycji do tego świata, który rzuciłem.

Ja przecież kiedyś chciałem być czekistą.

Tak. CZEKA, „Jak hartowała się stal”. Wspaniałe rzeczy. To siła idei. Takim być. Czekista — skórzana kurtka, okrągła czapka, nagan... w drewnianej pochwie. Tak, to było marzenie. Myślę sobie: pójdę do urzędu. Bezpieczeństwa. U nas był, na przedmieściu, tuż obok. Idę do urzędu. „Chcę pracować”. Coś dla sprawy. A on na mnie patrzy, taki stary wyga, chyba nawet przyjął mnie szef urzędu, bo szokiem było, że taki młody chłopak, uczeń, w krótkich spodenkach, czy też pumpach tam byłem... Więc szok! Mówię mu gorąco o tym wszystkim, na czytany tych pięknych książek o bohaterach, Dzierżyński — dużo o nim czytałem — i w złej tonacji, i w dobrej. Przed wojną „czerwony kat”.. Ale fascynujący, wielki człowiek... Siła, coś dużego zrobił. I ten oficer bezpieczeństwa tak patrzy na mnie, patrzy i mówi: „Słuchajcie!”. Pogrzebał w jakiejś teczce, wyciągnął z szuflady następny plik papierów i mówi: „U was w szkole profesor ten a ten podejrzany o koneksje z piśsudczakami, ten a ten był w AK — słuchać, patrzeć, obserwować. A w razie czego...”. I podaje mi karteczkę ze swoim numerem telefonu. I to ma być czekista? Co to za czekista? Mały kapucha, tak?

Wydajemy wszyscy jęk zawodu i rozczarowania.

— Czemu Pan teraz nie pisze o urkach? Skończyło się?

— Nie można. Ja mam taki dzwonek alarmowy, wiem, kiedy już się powtarzam. Przynajmniej do tej pory wiedziałem. Kiedy widzę, że to już jest plewa, że nie ma ziarna, to stop.

— A czy jest dzisiaj jeszcze prawdziwy półświatek?

— Pewnie jest, ale jakiś inny, związany ściśle z socjalizmem. Tamten był anachroniczny, ten jest już w tym rytmie, w te obroty wciągnięty. To nie jest już światek, to wynika z tego, co jest, z systemu. Margines systemu, szczelina systemu... może to jest po prostu system? Te działania nie mają już nawet pozoru wolności i niezależności, jakie miały wtedy.

— A czy te środowiska wówczas były zainteresowane polityką? Jaki był w nich stosunek do czerwonych?

— Do czerwonych był stosunek przeważnie negatywny, ale to był taki stosunek do siły, która jest, ale która dopóki bezpośrednio nie zagraża, to nie ma się nią co zajmować. Może też traktowano ich jako dopust Boży. A czasem było zabawne korzystanie z tej siły. Znałem jednego złodzieja, który dla własnego bezpieczeństwa, większej swobody działania nosił Stalina w klapie.

— Pomagało to coś?

— Pewnie pomagało, jak nosił uporczywie.

— Może taki amulet — śmiejemy się.

— Rzeczywiście, może taka magiczna sprawa. Nie chcecie herbaty?

— Nie, dziękujemy... Zresztą, jak Pan prosi...

— Nie proszę.

— Proponuje, przepraszam.

Między sobą: „pokaż tam te pytania”. Wyłączamy kasety. Odprężenie...

— Teraz piszę opowiadanie o takim spotkaniu w pewnej restauracji, która kiedyś była klubem artystów i nie byłem w niej lata całe. I poszedłem po 12-13 latach znowu i zobaczyłem tylko jednego znajomego człowieka, bo już umarła przeszłość, ludzie poumierali, starzy poeci, pisarze, malarze moich lat. To znaczy niekoniecznie oni byli nieskazitelni, tam były i szmaty i konformiści, fagasy systemu. Ale było w nich coś z barwy i z czasów. Spotkałem tylko jednego znajomego człowieka, który był przykrym elementem teraźniejszości. To był taki malarz, który bardzo się ożywił w czasach Solidarności, entuzjasta tych wydarzeń, pierwszy malował olbrzymie płótna z Wałęsą... A wraz ze stanem wojennym stał się najgorszym żyłektarzem nowych porządków. Spotkanie bardzo dziwne, spojrzałem na niego, odwróciłem głowę z niechęcią, nie pragnąłem kontaktu. Pustka tego klubu, śmierć widoczna w tym klubie, śmierć przeszłości. I tylko w tej sali stare, ładne wnętrza, ale też już bez dawnej urody. Czy to robi starość już, dojrzałość, czy rzeczywiście tak jest... Tego się

nigdy nie rozstrzygnie. Tak? Bo tu wyobraźnia decyduje, nastrój. No i ten malarz. Przysiadł się do mnie. I ta prośba, błaganie w oczach, żebym się zgodził... I zaczął monolog o sobie i o życiu. Że już w nic nie wierzy, że tamten czas to była ostatnia jego wiara, że zrozumiał, że trzeba tylko w rydwanie władzy, że nienawidzi tych, którzy są ciągle wolni, ciągle próbują, bo jak gdyby są dla niego wyrzutem sumienia, jakimś szankrem na jego ciele, uformowanym ostatecznie. Dziwna rozmowa.

— Pisze Pan dla drugiego obiegu, co ma chyba — prócz zalet — i pewne wady?

— Wszędzie bym pisał, jeśli by mnie drukowano. Ale nikt się do mnie nie zwraca. To jest jedna rzecz. A druga — nie mam już ochoty na te wieczne perturbacje z cenzurą. Oczywiście są pewne koszty tego stanowiska, bo mogą za jakiś czas być zupełnie nieznany. Ot, obieg niecenzuralny się skurczy lub zdechnie — mówię teoretycznie, bo nie wierzę w taką sytuację.

Skazany jestem na mały krąg czytelników. Ale tu trzeba postawić sobie kwestię w sposób zdecydowany, albo tak — albo tak. Myślę, że dla tego, co chcę robić w pisaniu, to jest dobra sytuacja.

— A czy nie ma Pan ochoty napisać opowiadania o II obiegu, bo tu jest też bardzo różnie i często niedobrze.

— Na razie nie, a zmuszać się nie chcę, bo to też byłoby uleganie jakiemuś ciśnieniu, gdybym się zmuszał. Nie mam negatywnego stosunku do II obiegu. Uważam, że jest to wspaniały wynalazek w Europie Wschodniej. Ale i ten drugi obieg ma swoje ciemne strony i nie należy jego istnienia tylko idealizować — trzeba widzieć i jego negatywne cechy, pewne dewiacje, którym on podlega. Trzeba walczyć z tym dewiacjami. Trzeba widzieć pewną chorobę, która może go stoczyć. Swoisty rak zamknięcia, getta, gotowania się we własnym sosie, tworzenia własnego fikcyjnego świata. Kolejnego fikcyjnego świata w tym zniewolonym kraju. To są niebezpieczeństwa i trzeba z nimi walczyć. Tym bardziej, że II obieg jest wielką szansą dla literatury.

Najważniejsze jest jedno — już teraz poważnie mówię, bo tak sobie przecież żartujemy, nie ma co mówić poważnie. Najgorsza rzecz to mówić poważnie. A jeszcze gorsze jest mówić po kapłańsku, z namaszczeniem, z wielką powagą człowieka idei, walki moralnej, postawy, zasad. To zawsze jest fałsz. To zawsze podszyte jest czymś nieprawdziwym.

Nie wiercie tym kapłanom! Nie wierzę w styl patetyczny, krzyk, który rozlał się szeroką strugą, w namaszczone kazania, wezwania, przesłania. To werbalizm, słowa, słowa, słowa. W lite-

raturze należy czekać na teksty — nie to, co się o niej mówi, co mówią pisarze o sobie — to jest rzecz druga, a może trzecia. To, co piszą, jest najważniejsze. Pisarze w ogóle powinni milczeć. Tekst jest ich głosem, ich wypowiedzią. To, co mówią, komentują, to jest gawędziarstwo. Mam jedną zasadę — nie wstydzę się, nie wypieram się żadnego mojego tekstu. Nie dlatego, bym uważał, że to są wspaniałe teksty — nie jestem tak próżny.

Napisałem to, co chciałem. Nigdy nie byłem pod żadnym ciśnieniem. Mówię nie tylko o autocenzorze politycznym — nie myślcie, że zawężam — mówię też o autocenzorze obyczajowym, autocenzorze kreacji pysznej. Każdy tekst, który napisałem, napisałem z ochotą, z potrzeby.

— Co do tych cenzorów...

— Przepraszam. Jeśli można. Jest jeszcze jedna rzecz poważna: żeby pisarz, jeśli naprawdę chce być pisarzem, starał się pisać to, co czuje, to co chce, bez względu na okoliczności, mody, sprzyjające lub niesprzyjające czynniki, nawet na przekór, nawet przeciw, jeśli taka jest jego potrzeba. Żeby się nie nagiął, żeby nie ulegał. Wtedy się zrobi fordanserką, a nie pisarzem.

— Czyli nie ma służyć społeczeństwu, pisać prawdy za wszelką cenę?

— Przecież ja mówię o czymś innym — głębszym i ważniejszym. Żeby pisał to, co mu dyktuje jego sumienie.

— Nie namawiam Pana, żeby Pan służył społeczeństwu, ale nie od wczoraj takie głosy się pojawiają, również u nas, w II obiegu. W każdym razie są takie „trendy”.

— Ja mówię o uczciwości wobec swego pisarskiego gospodarstwa. To jest co innego, bo polega na tym, żeby nie ulegać żadnym ciśnieniom. To jest jedyne kryterium uczciwości pisarskiej.

— Co dalej w Pana życiu literackim? Nie czuje Pan, że powoli się Pan wyczerpuje... Przecież sam Pan powiedział...

— Nie wiadomo. Uważam, że to jest rzecz okrutna, ale i konieczna, żeby mieć świadomość, kiedy pisać, a kiedy przestać pisać. Chociaż to trudne, bo człowiek traci kontrolę i może się zagubić — pisać, powielać się, może być takim zgredziarzem, który już nie ma nic do powiedzenia, a mówi. To jest dramatyczna sprawa.

— To znaczy jest Pan już nałogowcem?

— Powiedziałem to trochę żartem, trochę serio. Pisanie stało się dla mnie azylem, moim światem wolności i mam pisanie teraz

jako formę życia, jako sposób na życie. Chciałbym, aby ta wolność jak najdłużej trwała. Jest to moja ostoja, bastion. Ten skur..., co stoi na ulicy, nie psuje mi humoru. Tu jestem panem, demiurgiem, robię co chcę. Chciałbym tę wolność zachować. To jest jedyna moja wolność, najcenniejsza. Żeby na tych karteczkach wypisywać jakiś swój świat, żeby on miał jakiś sens artystyczny, żeby był jakąś moją prawdą. Rodzajem rejestracji mojego życia w tym wszystkim.

Promieniści nr 7-8 (101-102), 18 stycznia 1988.

„KOR” TO BYŁ SPOSÓB NA ŻYCIE

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ROMASZEWSKIM

— Jak się w tym kraju trafia do opozycji?

— W moim przypadku zaczęło się w 1956 roku i związane jest w pewnym sensie z moim małżeństwem. W grudniu 1956 roku, po rozwiązaniu ZMP na zwołanym przez *Po prostu* (przewodniczył red. Zimand) zjeździe poszukiwaliśmy nowych formuł organizacji młodzieżowej. Tam poznałem moją żonę. Na tymże zjeździe utworzono ZMS, ale uznaliśmy z żoną, że to nie jest to i nie wstąpiliśmy. Żona zaczęła działać w harcerstwie, a ja pozostałem niezorganizowany. Potem były studia i inne rzeczy... Po '68 roku zaczęliśmy organizować grupy samokształceniowe, zapraszaliśmy różnych interesujących ludzi, np. profesorów Lipińskiego, Ossowską, mec. Cohna, mec. J. N. Millera i dyskutowaliśmy. Miało to w zasadzie charakter towarzyski. Właściwa „inauguracja” opozycji miała miejsce w 1976 roku, kiedy po wydarzeniach ursuskich i radomskich rozpoczęły się procesy robotników. Wtedy mój kolega ze studiów, Heniek Wujec, powiedział mi, że parę osób wybiera się obejrzeć te rozprawy. Ja w tym dniu miałem jakieś seminarium, tak że nie mogłem pójść. Na procesie Heniek spotkał ludzi z kręgów opozycji „pomarcowej” oraz grupę harcerzy „Czarnej Jedyńki” z warszawskiego liceum im. Rejtana.

— Jak to się stało, że nagle kilka grup ludzi decyduje się iść na nie dotykające ich przecież procesy?

— To narastało. Wszyscy czuli, że jest coś nie tak i trzeba coś zrobić. Ja to odczuwałem po prostu tak, że było mi zwyczajnie niedobrze. Jako swoją życiową perspektywę widziałem rdzewiejącego malucha, pod którym leżą co niedzielę i coś w nim dłubię...

— Na marginesie — ma Pan malucha?

— Nie, nie (*śmieje się*). Jeśli więc pułapem aspiracji życiowych było zarabianie na wakacje w Bułgarii, to robiło się troszeczkę niedobrze. Do tego doszły jeszcze zmiany konstytucyjne, właśnie włączyliśmy sobie do Konstytucji Związek Sowiecki i PZPR, wywołało to duże oburzenie społeczne. Wystosowano w tej sprawie kilka listów protestacyjnych do Sejmu i przy ich okazji różne środowiska spotkały się ze sobą. Na procesach nastąpiło kolejne spotkanie, bowiem okazało się, że sądzonym trzeba jakoś pomóc. Trzeba załatwić obrońców, napisać pismo procesowe, często po prostu dać rodzinie środki do życia. I od tego momentu wystartowała akcja zbierania pieniędzy. Ja w tym czasie wyjechałem na wakacje i gdy we wrześniu wróciłem, akcja ta była już w toku. Ludzie bardzo chętnie się składali.

— No dobrze. Wraca Pan z wakacji i...

— Jeśli chodzi o moje zaangażowanie się, to było ono nieco zaskakujące. W tym momencie szykowałem się do doktoratu. Kiedy wróciliśmy z wakacji, Heniek [Wujec — przyp. red.] powiedział mi, że jeśli chodzi o Ursus, to sprawa jest już właściwie załatwiona, istnieje tam już ekipa ludzi złożona głównie z harcerzy „Czarnej Jedyńki”. Natomiast w Radomiu sprawa jest dość słabo ruszona; są tylko dwie, trzy osoby, które jeżdżą, a represje są poważniejsze. Ja powiedziałem, że w tym nie bardzo mogę uczestniczyć. Natomiast Zosia [żona Zbigniewa Romaszewskiego — przyp. red.] się zgodziła. Wtedy też spotkaliśmy się z Mirkiem Chojckim, który całą tę radomską działalność prowadził.

— W jaki sposób trafiliście do Radomia?

— Po prostu ktoś z Radomia siedząc w więzieniu wysłał gryps przez kogoś z Ursusa. A ponieważ mieliśmy kontakt z ursusiakami, to pojawił się pierwszy adres radomski. Mirek tam pojechał i próbował na miejscu zebrać inne adresy. Kiedy my zgłosiliśmy się, to było ich z piętnaście.

— Kiedy to było?

— Dokładnie 20 września — na trzy dni przed założeniem KOR-u. Wyruszyliśmy z żoną. Kiedy jechaliśmy, by pomóc tym robotnikom, by dać im te 5 tysięcy zasiłku, liczyliśmy się z tym, że zostaniemy aresztowani. I to jest ciekawe, bo ukazuje, jak bardzo poszliśmy do przodu, jak bardzo poszerzyliśmy sferę wolności w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kolejne wrażenie z tego pierwszego dnia to straszliwa niepewność — nawet nie dotycząca tego, czy dostanie się trzy lata, czy więcej — ale kwestia kontaktu. Jak go nawiązać, jak to będzie wyglądało? Przecież nie znaliśmy tych ludzi. Wchodzisz do mieszkania nieznanego człowieka i coś musisz zrobić, coś powiedzieć, jakoś zacząć. Tego

się najbardziej bałem. I muszę powiedzieć, iż podczas mojego pierwszego wyjazdu nawiązanie kontaktu nie napotykało żadnych trudności. Byłem widocznie dość przekonujący...

— Wchodził Pan i mówił...

— Mówiłem, że jest zorganizowana pomoc, że chcieliśmy się dowiedzieć, jakie są ich potrzeby, że możemy załatwić obrońcę itp.

— Bardzo byli zdziwieni?

— Nie, wcale nie byli tym zdziwieni. Nie wiem, z czego to wynikało, ale było na tyle fascynujące, że odłożyłem doktorat i zacząłem jeździć do Radomia. I rzeczywiście jeździłem jak wściekły, bo od 20 września '76 roku do 1 stycznia 77 roku byłem przynajmniej 43 razy, tzn. co drugi, trzeci dzień. To była koszmarna robota. Pracowałem w instytucie, ponadto, żeby się jakoś utrzymać, dorabiałem korepetycjami, musiałem też spać. Wyglądało to więc tak, że rano do instytutu, o trzeciej wychodziłem i od razu „okazją” do Radomia. Wracałem ostatnim nocnym pociągami „reszowskim”, który przychodził do Warszawy około pierwszej w nocy. Parę godzin snu, do pracy, po południu korepetycje, a następnego dnia znów Radom. Było to strasznie męczące. Pamiętam, że nigdy nie widziałem Janek — miejscowości, w której jest rozjazd na Częstochowę i Radom, bo jak w Warszawie złapałem jakiś samochód, to do Janek już spałem. I ta zabawa trwała...

— Jeździł Pan sam?

— W sumie do Radomia jeździło ze 30 osób, natomiast jeśli chodzi o techniczną stronę wyjazdu, to jeździłem na ogół sam.

— A jak Pana przyjmowano? Czy przez ten sześciomiesięczny okres nie został Pan ani razu wyproszony z mieszkania, „opieprzony”, czy nie zamykano przed Panem drzwi?

— Nie. Takie przygody miały jedna czy dwie osoby i to chyba w wyniku nieporozumienia. Powstało ono w związku z naszym kolegą Bogdanem Borusewiczem, który w tym czasie działał w Radomiu jako „wolny strzelec”. Bogdan kursował na trasie Gdańsk - Radom - Lublin - Gdańsk. W Gdańsku zbierał pieniądze i jadąc do Lublina na studia zahaczał o Radom, gdzie te pieniądze zostawiał. Natomiast my mieliśmy taki zwyczaj, że przychodząc na nowe miejsce, trzeba było znać imię tego, kto „obsługiwał” daną rodzinę poprzednio. Miało to na celu sprawdzenie, czy nie chodzi tam jakaś ubecja.

— Zналиście wcześniej Borusewicza?

— Nie — i nagle stwierdziliśmy, że ktoś się nam po tych adresach płacze. Wobec tego zaczęliśmy napuszczać ludzi (*śmieje się*), by wyrzucali przychodzących, którzy nie znają imienia po-

przednika. To wszystko się pomieszało — przyszedłem pewnego razu na ulicę 1905 roku do... nie, nie pamiętam już nazwiska tych ludzi i sądziłem, że oni nie dostali dotąd żadnej pomocy. Ale z rozmowy wynikało, że ktoś do nich przychodził. Myślę więc — kto? Ten — nie, ten — też nie, ta również nie i w pewnym momencie przypomniałem sobie, że może to ten „wolny strzelec”, Bogdan Borusewicz. Wtedy zdołałem ich do siebie przekonać.

— Czy te kontakty przetrwały dłużej?

— Utrzymywały się do lata '77 roku, kiedy wszyscy skazani z Radomia wyszli na wolność. Potem niewiele z tego przetrwało...

— Czy było to wynikiem upływu czasu, czy też spowodowane zostało przez propagandę, która zaczęła przedstawiać KOR jako wrogi spisek, agenturę itp.?

— Nie, to był raczej wynik tego, że środowisko represjonowane w czerwcu '76 było środowiskiem całkowicie przypadkowym. To, że oni zastrajkowali nie oznaczało, że byli ludźmi z predyspozycjami do działalności społecznej. Radom miał jeszcze jedną cechę — procesy robiono tam posługując się kluczem lumpenproletariackim. W czterech procesach radomskich było od 6 do 8 kryminalistów, często z wielokrotną recydywą...

— Z tymi ludźmi też dogadywaliście się?

— Tak, oczywiście. Różnica między Radomiem a Ursusem polegała na tym, że o ile Ursus był zwartym zespołem jednego zakładu, to Radom był zbitką wielu zakładów, było w nim sporo elementu lumpenproletariackiego, a poza tym było to bardzo biedne miasto. Pamiętam, że dla mnie to był szok. Żyli tam bardzo biedni ludzie, a mieszkania, nawet na ulicy Żeromskiego, przypominały wręcz slumsy. Myślę, że średnia płaca robotnika w Radomiu nie sięgała nawet połowy średniej płacy robotnika w Warszawie, co nawet z uwzględnieniem wyższych kosztów utrzymania w stolicy jest znaczące. Wszystko to w połączeniu z niezwykle brutalnością milicji podczas pacyfikacji Radomia otworzyło nam oczy na krzywdę. Dla mnie ponadto najważniejszą rzeczą stała się kwestia praworządności. Bowiem na tych procesach jasno było widać, że ludzie są skazywani za to, czego nie zrobili, a jedynym „dowodem” są zeznania milicjantów. I nieważne jest to, że skazywani byli często recydywistami — teraz szli siedzieć „za niewinność”. Jeżeli miało się pełny obraz tych czterech procesów, to widziało się, że np. zeznający we wszystkich procesach milicjant o nazwisku Majak powinien być, gdyby dać wiarę jego słowom, w tym samym czasie w różnych miejscach: przed Komitetem Wojewódzkim, wewnątrz komitetu i w Radzie Narodowej. Widziało się horrendum naszego wymiaru sprawiedliwości, jego dyspozycyjność, łącznie z Sądem Najwyższym.

— I mimo tej absurdalności chciało się Wam nadal działać?

— No, jakieś skutki tego biegania były... Przecież zaczęli tych ludzi wypuszczać. Do końca lutego 1977 roku właściwie wszyscy wyszli na wolność. Ponadto akcja ta spotkała się z dużym uznaniem społeczeństwa. Poza tym wreszcie robiliśmy coś, co miało sens; kiedy zawiozłem jakiejś kobiecie 2 tysiące złotych, które pozwoliły jej przeżyć do pierwszego, to miało to po prostu sens, było autentycznym działaniem.

— Nie baliście się, że Was wszystkich pozamykają?

— Takie zagrożenie zawsze istniało. Staraliśmy się przede wszystkim nie narażać naszych „klientów” (były przecież próby zastraszania ich). Sama nasza działalność była tak ustawiona, że gdy stawało się wiadome, iż policja ma kogoś namierzonego, to zapisywał się do KOR-u. Bowiem KOR miał niejako dwie funkcje. Po pierwsze — oficjalną; zbierane przecież były pieniądze, za które ktoś musiał przyjąć odpowiedzialność. Po drugie — w razie aresztowań — kilka znaczących, obdarzonych autorytetem osób zaczęłoby krzyczeć, protestować. Myślę zresztą, że gdyby władza jeszcze przed oficjalnym powstaniem KOR-u wsadziła dwie, trzy osoby na kilka lat do więzienia, to wszystko by się rozpadło. Oni spóźnili się — po 23 września stało się jasne, że gdy niektórym wytoczy się procesy, to pozostali zaczęli domagać się, by ich również sądzono. A KOR był przecież instytucją dość prestiżową: prof. J. Lipiński, Jerzy Andrzejewski, ks. Zieja. Było prawie pewne, że np. prof. Lipińskiego nie aresztują, bo poza sędziwym wiekiem stanowił sam w sobie pewną siłę. Miał — jako ekonomista o międzynarodowej renomie — sporo uczniów i uczniów tych uczniów, którzy zajmowali czołowe stanowiska w różnych bankach i konsorcjach na całym świecie. PRL jako państwo zadłużone i wciąż potrzebujące nowych pieniędzy nie mogło poprzez szykanowanie Lipińskiego narażać się na niechęć międzynarodowego środowiska ekonomistów, decydujących o wysokości i warunkach kredytów.

— Czy w tym okresie dotknęły Pana jakieś represje?

— Nie, oni nie wiedzieli, że działam. Pierwszy sygnał o tym, że jestem im już znany stanowił list, który otrzymała moja żona 17 marca. Dokładnie pamiętam, bo jest to akurat dzień moich imienin. Jakaś Inka pisała, że mnie bardzo kocha, a ja w Radomiu zacząłem to z tą, to z ową, to z dziesiątą... Ona do tej pory wszystko to znosiła, cierpiała, ale już dłużej tego tolerować nie może i w związku z tym chce mojej żonie otworzyć oczy, jaki ja jestem (*śmiejemy się*). Istnieje więc pewność, że byłem już znany. Pierwszą rewizję, a właściwie areszt domowy, miałem 19 maja, kiedy w Warszawie miała się odbyć msza za Staszka

Pyjasa. Panowie przyszli rano i z domu nas już nie wypuścili. Od tego momentu zaczęły się większe komplikacje, ale w tych czasach było to tylko „48 godzin”.

— Potem zajmował się Pan pracą Biura Interwencyjnego...

— Tak, biuro powstało w 1977 roku, gdy sprawy radomsko-ursuskie zaczęły się kończyć, a napłynęło — m.in. na adres prof. Lipińskiego — wiele listów w bardzo różnych i dziwnych sprawach. Rozszerzyliśmy wtedy platformę KOR-u, który początkowo pomyślany był tylko dla rozwiązania problemów Radomia i Ursusa. Potem powstał Komitet Samoobrony Społecznej KOR i jego zadaniem było, oprócz zajmowania się represjami, także wspieranie niezależnych inicjatyw społecznych, szeroko pojęta kwestia praworządności itp.

— Ale szczerze: czy były jakieś pozytywne skutki działań biura?

— Skutki, mimo, że mało efektywne, były. I są. Wprawdzie żadne z zabójstw milicyjnych z tego okresu nie znalazło epilogu na sali sądowej, natomiast sam problem został dostrzeżony, stał się ważny społecznie. Jest to trudno ocenić, ale... Na przykład w Łodzi - Bałuty była komenda, w której milicja dokonała na pewno dwóch, jeśli nie trzech zabójstw. Kiedy dowiedzieliśmy się, gdy zrobiło się o tym głośno, to od razu na tym posterunku przeprowadzono rewizję i powyciągano z szafek alkohol. Jest to sukces mały, ale zdemoralizowany i przekonany o bezkarności milicjant, który się upije, traci resztki człowieczeństwa i staje się zdolny do wszystkiego.

— Nie baliście się?

— Myślę, że fakt powołania KOR-u i informowania opinii publicznej stanowił dla nas dosyć dużą ochronę. Pamiętam — raz straszliwie się bałem. To było po pierwszej i na szczęście ostatniej ofierze wśród współpracowników KOR-u. Myślę o Staszku Pyjasie. Na marginesie: sądzę, że nie było to umyślne zabójstwo, a raczej „wypadek przy pracy”. Pobili go, a gdy okazało się, że nie żyje, to trzeba było gdzieś zwłoki podrzucić. Wtedy 7 maja 1977 roku byłem w Radomiu i już wiedziałem o tej śmierci. Następnego dnia musiałem być w Warszawie i poszedłem na ostatni „rzeszowski” pociąg, który zwykle spóźniał się o 40-50 minut. Tym razem odszedł punktualnie, a ja spóźniłem się kilka minut. Zdecydowałem wtedy, że pojedę „łapać okazję”. Wyszedłem na szosę, była potworna pogoda, padał śnieg z deszczem, wiatr, dwunasta w nocy i oczywiście żadnych samochodów (sobota). Bałem się strasznie i wreszcie wzięłem taksówkę: pał diabli pieniądze, byle być szybciej w domu.

— Czy fakt, że zajmował się Pan badaniem i informowaniem o policyjnych represjach znajdował odbicie w stosunku SB-ków do Pana?

— Nie powiedziałbym, że miało to szczególne znaczenie. Myślę, że władze były się przede wszystkim działań wydawniczych, niezależnej prasy i książek. Zresztą, było różnie. Gdy KOR zaczął się rozrastać, już nie starczało funkcjonariuszy, by wszystkich obstarwić. W związku z tym w jednym okresie dobierali się do *Biuletynu Informacyjnego* i tam następowały represje. Wtedy był luz na innych obszarach. Potem przerzucali się np. na *Robotnika*, potem na nas, następnie na Kęcika i rolników — był on zresztą jednym z częściej zatrzymywanych. Adama [Michnika — przyp. red.] nie lubili bardzo z jego wykładami, które planowane były co tydzień. Chcąc to zwalczyć, wsadzali go na „48” tydzień w tydzień. To się tak przerzucało...

— A jak to znosili Wasi bliscy? Nie każdy ma tak wspaniałą żonę jak Pan. Czy działający w KOR-ze nie mieli konfliktów rodzinnych? Przecież praca ta uderzała w jakiś sposób w życie domowe.

— Akurat w KOR-ze nie było z tym problemów. I Gajka [żona Jacka Kuronia — przyp. red.] i Ludka [żona Henryka Wujca — przyp. red.] i moja Zosia były chyba w niemniejszym stopniu zaangażowane i nie było tu sporów.

— Wspomniał Pan, iż jedną z form ochrony KOR-owców przed represjami było informowanie o nich opinii publicznej i to nie tylko w kraju, ale i na Zachodzie. Czy jednak nie uważaliście, że kontakty z Zachodem, choćby z dziennikarzami zagranicznymi, są błędem ze względów taktycznych? Przecież jest to najczęściej używany przez propagandę argument przeciwko KOR-owi.

— To była po prostu walka o swoją sferę wolności. Jeśli mam być wolnym człowiekiem, to muszę mieć możliwość kontaktowania się z każdym, z kim zechcę, niezależnie od tego, czy on mieszka na Wschodzie, czy na Zachodzie. To jest oczywiste. A jeśli mi ktoś ogranicza kontakty, to znaczy, że chce mnie wyizolować i to jest dopiero nienormalne.

— Jak rozwiązywano w KOR-ze dylemat: z jednej strony działamy jawnie, legalnie, walczymy o poszanowanie prawa, z drugiej zaś zdajemy sobie sprawę, że Sejm — organ, który to prawo ustanowił — jest fikcją i atrapą?

— To nie była sprzeczność. KOR był w swojej działalności pragmatyczny, służył do rozwiązywania normalnych, ludzkich problemów. Pracując w Biurze Interwencyjnym nie zastanawia-

łem się, czy sposób załatwienia danej sprawy jest legalny, czy nielegalny. Obojętne było, czy rozwiązanie nastąpi przez list do Sejmu, czy przez nasze „dojścia”, czy inaczej — np. przez... podsłuch. W tym ostatnim wypadku chodziło o aresztowanie pewnego pastora, od którego furgonetką wywożono kilkaset egzemplarzy Biblii w języku rosyjskim. Wystarczyło zastanowić się w mieszkaniu prof. Lipińskiego, do kogo na Zachodzie należy się zwrócić aby powiadomić go o tym fakcie, by kompetentne władze natychmiast wiedziały o naszej rozmowie i — chcąc uniknąć rozgłosu — zwolniły pastora.

— Cieszymy się, że udało się nam z Panem porozmawiać.

Promieniści nr 1 (77), 22 listopada 1986.

HOMO CRACOVIENSIS

Z KRYSTIANEM WAKSMUNDZKIM,
WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM POLSKIEGO KLUBU
EKOLOGICZNEGO, O SYTUACJI EKOLOGICZNEJ
KRAKOWA

— Komu możemy zawdzięczać fakt, iż to, czym w Krakowie oddychamy i to co pijemy bardziej przypomina składem tablicę Mendelejewa niż powietrze i wodę? Kto jest za taki stan rzeczy odpowiedzialny?

— Odpowiedź na to pytanie jest bardzo złożona. Trzeba wrócić do historii, do lat 50-tych, gdy problem ten pojawił się w Krakowie i został zauważony m.in. przez prof. Szafera i W. Goetla (pierwszy z nich był rektorem UJ, drugi AGH). Wówczas zanieczyszczenie było nieporównywalne do dzisiejszego. Lata 50-te to był dopiero początek rozwoju wielkiego przemysłu, który jest głównym źródłem zanieczyszczenia. Wracam do nich ponieważ to wówczas sprawy ochrony środowiska zostały podjęte, zaś dopiero lata 60-te, 70-te i 80-te przyniosły nam niekontrolowaną i nadmierną koncentrację przemysłu, który w Krakowie nie bazuje na tzw. czystych technologiach, gwarantujących, że proces produkcyjny odbywa się hermetycznie (produkty uboczne nie wpływają na środowisko). Czyste technologie istnieją i stosuje się je zarówno w bloku socjalistycznym, jak na Zachodzie, czyli jest to możliwe. Natomiast słusznie zauważyliście, że środowisko, w którym żyjemy jest konglomeratem wszelkiego typu zagrożeń, jakie w tej chwili w świecie występują. Przy czym nie jest to tylko problem związany z działalnością wielkiego przemysłu, ale również z gospodarką komunalną, bo taki stopień koncentracji ludności, jak w wypadku aglomeracji krakowskiej, stwarza w każ-

dym przypadku problemy ochrony środowiska. Kraków jednakże znalazł się w szczególnie trudnej sytuacji, a to dlatego, iż leży w tzw. poinwersyjnej dolinie Wisły. Oznacza to, że utrudniona jest wymiana powietrza z obszarami otaczającymi. I to jest problem zasadniczy. Nie ma przewiewu, duża ilość dni bezwietrznych, ciszy w ciągu roku, powoduje koncentrację wszystkich toksycznych substancji.

— Właśnie — problem wybudowania osiedla na Czyżynach, które zamknęło naturalny ruch powietrza filtrującego Kraków...

— Tak. Był też drugi taki przypadek. Przed kilku laty jeden z notabli politycznych tego województwa wymyślił, aby zabudować też Błonia Krakowskie. Ten drugi klin zieleni w mieście, którego rola przy wymianie powietrza jest ewidentna, wręcz kolosalna. I jeszcze jeden aspekt sprawy — ogromna koncentracja zanieczyszczeń i skażeń. Nie ma drugiego takiego regionu, ani w Polsce, ani w Europie, gdzie byłaby tak duża koncentracja zanieczyszczeń. Są oczywiście takie obszary jak Górny Śląsk, gdzie lokalnie sytuacja wygląda wręcz tragicznie — natomiast my mamy niesamowitą koncentrację wszelkich zagrożeń poczynawszy od promieniotwórczego skażenia powietrza, zaburzenia stosunków wodnych, zagrożenia mikrobiologicznego, hałasu, zanieczyszczenia gleb, produktów rolnych itd. To wszystko się nakłada jedno na drugie, a efektem nie jest proste sumowanie, lecz potęgowanie się skutków negatywnych.

— Widać to chyba szczególnie wyraźnie, gdy zwróci się uwagę na niebezpieczeństwo tzw. zawału tlenowego...

— Tak. W okresie zimowym — od listopada do stycznia, a także częściowo w lutym — rzeczywiście grozi „zawał tlenowy”. W tych miesiącach do powietrza dochodzą dymy z krakowskich pieców, jako że od lat nie możemy się doczekać gazyfikacji Starego Miasta, a przynajmniej dostarczania do aglomeracji krakowskiej węgla niskosiarkowego, aby zmniejszyć udział SO_2 . Oczywiście, jest taki gatunek węgla, ale sprzedaje się go za dewizy, a na potrzeby krajowe kieruje się najgorszy. Słowem, koncentracja dodatkowych zanieczyszczeń związanych z ogrzewaniem wypiera tlen, a w miejscu tlenu zaczyna powstawać mieszanina toksycznych związków.

— Czy jest to niebezpieczne tylko dla ludzi starszych i astmatyków, czy też dla każdego, młodego nawet człowieka?

— U ludzi starszych, mających kłopoty z układem krążenia i oddechowym, mogą się oczywiście te dolegliwości powiększyć, ale mogą one również wystąpić u ludzi zdrowych i jest bez znaczenia, czy człowiek jest młody czy stary, czy jest kobietą, czy

mężczyzną, czy dzieckiem. Skutki zanieczyszczenia nie wybierają... Proszę wziąć pod uwagę tysiące zgonów podczas tzw. smogu londyńskiego. Z tym zjawiskiem spotykamy się także w Krakowie. Fakt, że w tej chwili nie ma masowego pomoru graniczy z cudem. Niektórzy, chyba nawet bez złośliwości, twierdzą, że skoro istnieje pojęcie przystosowania się człowieka do zmieniających się warunków środowiska, to w Krakowie powstał mutant — *Homo Cracoviensis* — uodporniony na wymienione wyżej zagrożenia. Jednakże zmiany środowiska krakowskiego przekraczają już możliwości adaptacyjne człowieka. Wskazuje na to liczba zachorowań na choroby układu oddechowego, ruchu, wzroku no i nowotwory. Wyjątkowo wysoka śmiertelność w Krakowie jest bardzo niepokojąca. Dowodem jest wreszcie rzecz najtragiczniejsza — zmiany genetyczne.

— Możliwości przystosowania się organizmu do zmian środowiska są ograniczone. Potem musi to powodować zmiany genetyczne. Czy istnieje możliwość, że nasze dzieci będą potworkami?

— Podkreślam, że nie jestem lekarzem. Opinia lekarza byłaby być może inna. Ale zajmuję się problemami ochrony środowiska od kilkudziesięciu lat, mam więc przegląd sytuacji w różnych latach, a mając z drugiej strony dane o wzmożonej zachorowalności, hospitalizacji i przechodzeniu na wcześniejsze emerytury z tytułu skażenia, widząc jakie są w tej chwili skutki zachorowań i zmian genetycznych mogę powiedzieć, że tendencja jest jednoznaczna. Czy nasze dzieci będą potworkami? Już od pewnego czasu — od lat 70-tych — napływają takie sygnały od środowiska lekarskiego. W latach 80-tych mieliśmy dużo informacji z aglomeracji bielsko-bialskiej. Biorąc pod uwagę stopień zanieczyszczenia regionu i jego korzystne położenie, można wnioskować, że skoro w tamtych, lepszych warunkach nastąpiły zmiany genetyczne, o czym świadczą narodziny dzieci bez kończyn dolnych, górnych, z wodogłowie, bezmózgowiem, chorobami typu alergicznego; jeżeli występują zmiany fizjologiczne u dzieci, związane z procesem dojrzewania seksualnego, tak daleko posunięte, że kilkuletnie dziewczynki mają rozwinięty gruczoł piersiowy; jeżeli pojawia się u tychże kilkuletnich dziewczynek menstruacja, to coś nie jest w porządku, nastąpiły zaburzenia genetyczne. Nie mamy w tej chwili danych, które mogłyby pokazać, jaki jest procent dzieci z chorobami i zmianami tego typu w aglomeracji krakowskiej. Program badań nad tym zjawiskiem istniał przed 13 grudnia 1981. Materiały miały być zbierane i publikowane. Przecież jest to najtragiczniejsza rzecz, jaka może nastąpić. Jeżeli ktoś ma 30, 40 lat i zapada na astmę, to inaczej

do tego podchodzi niż kiedy zapada na nią dziecko, co więcej — gdy dziecko rodzi się z astmą. Gdy kilkumiesięczne dzieci mają wrzody żołądka i dwunastnicy, to już jest tragedia. Tragedia, która wykracza nie tylko poza wszelkie normy biologiczne, ale poza wszelkie normy przyjęte w świecie cywilizowanym — etyczne, moralne. A w takim typie aglomeracji, jaką jest krakowska — o silnym skażeniu, daleko posuniętych przekształceniach środowiska... Nie wiem, czy jest jeszcze możliwość opanowania tych procesów genetycznych. One wymknęły się zupełnie spod kontroli. Pomijam już osobiste tragedie rodziców, którym rodzą się takie dzieci, pomijam finansowe obciążenie społeczeństwa. Patrząc z pozornie cynicznego, ale jednak ważnego punktu widzenia, są to też olbrzymie obciążenia ekonomiczne.

— Wspomniał Pan o zagrożeniu promieniotwórczym w Krakowie.

— Problem jest stosunkowo słabo zbadany, choć poruszono go już w kilku pracach naukowych, np. monografii J. Krupińskiego „O zagrożeniu promieniotwórczym wybranych rejonów Polski”. Było też kilka prac wykonanych w Krakowie — mapy sozologiczne opracowane jeszcze w latach 60-tych — są prace wycinkowe. Wszystkie one wskazują, że istnieje też zagrożenie promieniotwórcze. W całym świecie występuje naturalne tło promieniotwórcze, natomiast w aglomeracji takiej jak krakowska następuje przekroczenie tła naturalnego. Jest to spowodowane różnymi czynnikami. W każdym procesie spalania wydzielają się substancje promieniotwórcze, zaś tutaj, w związku z niekorzystnym położeniem geograficznym, następuje kondensacja tych substancji. Na podstawie materiałów jakimi dysponowaliśmy w latach 80-tych stopień promieniowania można było ocenić jako znacznie przewyższający normy. Teraz nie mam nowych danych, ale wówczas tendencja była bardzo wyraźna i brak przesłanek, aby powiedzieć, że zaszła poprawa.

— Jak w takim razie ocenić plany budowy elektrowni atomowych i składowanie odpadów nuklearnych w Polsce? Jedna z takich elektrowni powstaje w południowych rejonach kraju...

— Kiedy o tym słyszę, to — proszę mi wybaczyć — nóż mi się w kieszeni otwiera. W tej sytuacji ekologicznej jaką mamy, tylko tego nam brakuje. Myśmy kiedyś (mówię o ludziach, z którymi kiedyś, w latach 60-tych, próbowaliśmy te sprawy forsować) wysyłali tysiące, setki monitów, apeli, memoriałów do najwyższych władz, Sejmu, Biura Politycznego, Akademii Nauk itd. Na wszystkich szczeblach cały czas poruszaliśmy ten problem, domagając się poprawy sytuacji. Wiedzieliśmy, jakie wymierne i niewymierne straty przynosi taki stan środowiska. Nie wyini-

kało to wcale z lokalnego patriotyzmu, z tego, że tutaj się urodziłyśmy i tutaj pracujemy. Po prostu prawda jest taka, że aglomeracja krakowska jest obszarem o największym w skali światowej zagrożeniu skażeniem. Podkreślam z całą premedytacją: w skali światowej. Domagaliśmy się uznania Krakowa za obszar katastrofy ekologicznej, udowodniliśmy, że tak jest. Badania wykazały, że w skali kraju są jeszcze dwa takie regiony — Górny Śląsk i Trójmiasto. Domagaliśmy się uznania tych trzech obszarów za tereny klęski ekologicznej. Proszę sobie wyobrazić, że w 1981 roku dwa ostatnie obszary zostały uznane, natomiast Kraków pominięto. Kraków, który ma najgorsze warunki i z którego wyszła inicjatywa. Kraków uznano za obszar objęty katastrofą w 1985 roku, ale równocześnie stała się rzecz, która jest przejawem cynizmu władz. Mianowicie wymyślono, że w Polsce istnieje 27 obszarów zagrożenia ekologicznego. Nie twierdę, że jest ich mniej — jest ich co najmniej 27 — ale w sytuacji ekonomicznej i społecznej, w jakiej się znajdujemy, nie stać nas na to, by uratować sytuację w 27-miu okręgach. Dla mnie jest to cyniczne rozmywanie sprawy i odkładanie problemu. Dla trzech obszarów pieniądze musiały się znaleźć, dla 27-miu się nie znajdują... Dam jako przykład opinię przedstawioną w 1984 roku przez ekspertów zachodnich od spraw odnowy zabytków. Problem dotyczył ochrony zabytków w warunkach krakowskich — zainteresowano się zależnością między stanem środowiska a odnową — zależnością, o której my wiedzieliśmy już dawno. W efekcie oni doszli do wniosku — dla nas, mieszkańców, oczywiście — że bez eliminacji zanieczyszczeń (głównie substancji agresywnych w powietrzu i wodzie) nie ma sensu cała akcja odnowy. Jest to po prostu wyrzucanie pieniędzy w błoto. Bo cóż z tego, że my jakiś zabytek „zrewaloryzujemy” skoro potem agresywne powietrze zrobi swoje — rozłoży kamień, rozłoży metal, rozłoży wszystko. Możemy to również odnieść do nas samych — dlaczego nie rozłożyło naszych płuc, naszych organizmów? Wraca tutaj teza o *homo cracoviensis*. W obecnej sytuacji należałoby ewakuować kobiety w ciąży i dzieci do lat trzech. I to powiedzieli zachodni specjaliści. Przypominam, że w każdym cywilizowanym państwie, a twierdę, że Polska od kilkunastu lat przestała być krajem cywilizowanym, dba się o ochronę środowiska. To, co się u nas w tej chwili dzieje — począwszy od wielkich zagrożeń w wielkich aglomeracjach, a kończąc na bezprawiu występującym w parkach narodowych, w najcenniejszych zakątkach przyrodniczych i krajobrazowych Polski, stanowiących światowe dziedzictwo — to wszystko woła o pomstę do nieba. Tam jest dopiero bezprawie, ale to już inny temat...

— A wracając do problemu elektrowni atomowych i odpadów...

— W świetle tej wiedzy, jaką w tej chwili posiadam, dodanie do aktualnego stanu elektrowni atomowych — przy bardzo dyskusyjnym stopniu ich zabezpieczenia — to będzie zgroza. Oczywiście energia jest potrzebna, ale biorąc pod uwagę ilość wypadków, jakie zaszły w państwach, gdzie stopień zabezpieczenia jest bardzo wysoki — no to w sumie jeszcze tylko tego nam brakuje... Problem odpadów — nie ma jeszcze metod całkowitej ich neutralizacji, a w naszych warunkach totalnego bałaganu w dziedzinie unieszkodliwiania różnego typu substancji chemicznych — chociażby nawozów sztucznych — jeśli tak będziemy postępować z odpadami radioaktywnymi, choć są to rzeczy nieporównywalne, to... Przecież nie potrafimy sobie poradzić z rzeczami podstawowymi. Kraków nie może sobie dać rady z wysypiskami śmieci. Szkoda mówić, co będzie z odpadami promieniotwórczymi. Nie mogę sobie w ogóle wyobrazić możliwości podjęcia tych inwestycji.

— Wystarczyły nieco mniejsze, typu Huta Katowice...

— Tak. Gdy w latach 70-tych opiniowaliśmy projekt, w Wojewódzkim Komitecie Ochrony Przyrody zapewniano nas, że będą to tylko czyste, hermetyczne technologie, co okazało się oczywistym kłamstwem. I teraz dokładają nam jeszcze koksoownie. Gdyby doszła do tego elektrownia atomowa to, przepraszam, ale wtedy to będzie krematorium. Niektórzy zresztą mówią, że już żyjemy w krematorium. Bo skutki są podobne...

— Czy jest więc jakaś nadzieja, że w sprawie ochrony środowiska można liczyć na dobrą wolę władz? Przecież wszyscy oddychamy tym samym powietrzem, pijemy tę samą wodę, bez względu na to, czy ktoś jest członkiem KC czy też zasiada w ławie szkolnej.

— Wizja, którą przedstawiłem, nie jest katastroficzna — wprawdzie stan jest katastroficzny, ale nie można opuścić rąk, lub, jak twierdzą niektórzy, zabrać wszystkiego i uciekać z tego miasta. To nie jest rozwiązanie. Poruszono tutaj problem o kapitalnym znaczeniu. Owszem, tzw. decydenci oddychają tym samym powietrzem, piją tę samą wodę, ich rodziny i dzieci żyją w takim samym środowisku. Kwestią najważniejszą jest obudzenie ich instynktu samozachowawczego, a także całego społeczeństwa. W latach 1980-1981, a nawet wcześniej, gdy żył prof. Stefan Myszkowski, usiłowaliśmy ruszyć z posad pewne sprawy natury organizacyjnej, gdyż nie było w Polsce organizacji, która zajmowałaby się sprawami ochrony środowiska (przecież tej roli nie spełniała ani LOP, ani PTTK, ani żadna z innych istniejących

organizacji społecznych). Próbowaliśmy stworzyć autentyczny czynnik presji — z jednej strony społeczeństwa na władzę, z drugiej — na społeczeństwo, aby pobudzić instynkt samozachowawczy. I udało się to w 1980 roku. Przypomnijmy sobie ten moment, kiedy wyskoczyła sprawa huty aluminium w Skawinie. Właśnie wtedy stworzył się jednolity front społeczny przeciw trucielowi. I można było skutecznie zadziałać. Zrobiły to Solidarność i Polski Klub Ekologiczny, wysłaliśmy masę monitów, protestów i władze w oparciu o naszą dokumentację szkodliwości huty, podjęły decyzję o zamknięciu jej. Była to naprawdę bezprecedensowa decyzja w skali PRL. Jednak Skawina była tylko jednym elementem — trzeba było zająć się Bonarką, Solvayem i największym trucicielem w kraju — hutą im. Lenina. Wystarczy porównać wskaźniki emisji pyłów i gazów przez kombinat i inne zakłady. Przecież jest to truciciel totalny, bijący na łeb wszystkich innych. W zespole ekspertów ochrony środowiska Solidarności i PKE przygotowaliśmy program przeprofilowania tego zakładu, program wszechstronnie zbadany ze strony ekonomicznej i technicznej. Program ten został uchwałą RN miasta Krakowa przyjęty 2 grudnia 1981 roku. Potem wszystko „obrócono”, a teraz „odkrywa” się po raz n-ty! Przecież problem huty im. Lenina jest tak stary jak sama huta. Od początku wiadomo było, że technologia zakładu pochodzi z lat 30-tych naszego wieku! Jednak skutecznych działań na rzecz ochrony środowiska nie podjęto. Podjęto efektowne — przecinanie wstęg, uroczystości otwarcia, pseudoracjonalizatorskie pomysły itp. Ktoś robił na tym ciężkie pieniądze, tytuły naukowe itd. Natomiast nie było działań, po których można by powiedzieć: „Huta Lenina zmniejszyła emisję gazów, skażeń toksycznych...”. Bo przecież nie można powiedzieć, że zmniejszyła, skoro wynikało to z przestojów spowodowanych brakiem surowców lub strajkami. Niczego konkretnego się nie robi. Na przykład oddanie z wielkim hukiem oczyszczalni ścieków przyniosło dla Krakowa efekt zerowy. Oczywiście w skali kraju ma to — jak każda dodatkowa oczyszczalnia ścieków — znaczenie, ale dla miasta efekt jest żaden. A poszły na to miliony, podczas gdy inwestycje miejskie leżą, chociażby sprawa wody. Wiadomo już teraz, że zbiornik w Dobczycach nie rozwiąże problemu. I dalej — dlaczego nie mówi się ludziom, aby przestali w tym mieście uprawiać działki, skoro znana jest zawartość toksyn w marchwi, ogórkach i innych warzywach tutaj hodowanych. W latach 70-tych Instytut Geografii UJ próbował ustalić, czy jakiś element aglomeracji krakowskiej funkcjonuje normalnie. I proszę sobie wyobrazić, że zespół złożony z 30 specjalistów z różnych dziedzin nie doszukał się takiego

elementu. A jeżeli nie ma możliwości dopuszczenia do głosu przyrody, to już jest tragedia. Stwierdzono wówczas, że warunkiem jedynym, *sine qua non*, zapewnienia ludziom egzystencji w tych warunkach jest natychmiastowe, radykalne ograniczenie skażeń powietrza. Radykalne — a była to połowa lat 70-tych. A co od tego czasu zrobiono? Nic! Zorganizowano wielki program obserwacji ekologicznej. Pytam się: po co? Już w tej chwili każde dziecko zdaje sobie sprawę — zwłaszcza jeżeli nie daj Boże choruje na astmę — że stan jest fatalny. Taki program jest potrzebny w perspektywie czasu, ale teraz jest to wyrzucanie pieniędzy. Zabierzmy się za doraźne działania, ale takie, które przynoszą skutki. Trzeba ratować to, co się jeszcze da uratować, a nie tworzyć wielkie programy naukowo-badawcze. Jest to ewidentny przykład działalności pozorowanej. Dużo mówić, obradować, konferować — a dokładnie nic nie robić. To jest cynizm.

— Co na to prawo?

— Nie ma praworządności w ochronie środowiska w PRL. Mówicie, że mamy świetną ustawę o ochronie... Bzdura! Gdyby ustawa była dobra, nie znaleźlibyśmy się w takim stanie. W kraju praworządnym prawo musi być przestrzegane. Emitujesz ponad normę? — koniec! Działa prawo i truciciela spotykają represje. A teraz przykład: Solvay, Bonarka, Huta, miały być zgodnie z tą ustawą przeprofilowane. I co? Odwołania i... wszystko funkcjonuje po staremu. Teraz znowu coś się mówi, ale ja pytam konkretnie: kiedy? co? jak? Chyba, że we władzach obudzi się instynkt samozachowawczy, ale i tego nie widzę.

— A normy obowiązujące w prawodawstwie PRL — jak mają się one do analogicznych norm obowiązujących w innych państwach?

— Kolejny ważny punkt. Normy polskie są bardzo liberalne. Na przykład norma SO_2 jest 7-miokrotnie wyższa niż w ZSSR. Niektórzy więc żartują, że Polacy są bardziej wytrzymali niż ludzie sowieccy. A normy czystości wód? Nasze wody klasy I odpowiadają III klasie czystości wód CSRS. A przecież to są takie same kraje socjalistyczne, te same układy, zależności organizacyjne... Rozbieżności te mają szersze reperkusje międzynarodowe. Wyrażam się źle o naszym systemie prawnym, bo jest on po prostu nieskuteczny, wiele danych wziętych jest z powietrza itd.

— Oddychamy skażonym powietrzem, pijemy skażoną wodę, jemy zatrutą żywność... Jak długo jeszcze pożyjemy?

— Na to nie potrafisz odpowiedzieć. Poczesa mnie fakt, że w tak tragicznych warunkach, gdzie zgodnie z regułami sztuki medycznej i biologii życie nie powinno istnieć — życie jeszcze

istnieje. Jest to swoisty ewenement. Wracam w tej chwili do pojęcia mutanta. W latach 50-tych w Oświęcimiu nastąpiła tzw. katastrofa fenolowa, w wyniku której wyginęły wszystkie ryby w Wiśle, w ogóle całe życie biologiczne. Teraz, jak wiemy, pojawiły się w niej ryby. Ale to są właśnie mutanty ze zwichnięciami genetycznymi, zwyrodnieniami. Po katastrofie pojawił się jakiś nowy gatunek, przystosowany do życia w silnie skażonym środowisku. Można to również odnieść do człowieka żyjącego w Krakowie. Może tu przecież wystąpić zawał tlenowy, co spowoduje zejście śmiertelne tysięcy ludzi... Już są widoczne zmiany genetyczne... Na naszych oczach dokonuje się przeobrażenie gatunku *homo sapiens* w Krakowie... A jak długo pożyjemy? Nie wiem. Człowiek jest złożony. Jest to tym tragiczniejsze, że występuje w normalnych czasach. Nie w czasie wojny, nie w wyniku przypadkowych katastrof (jak w Sevezo czy w Bhopalu) następuje proces niszczenia populacji. Nie jestem prawnikiem, ale ma to dla mnie aspekt prawny — jest to po prostu zbrodnia ludobójstwa. Bo jak to inaczej nazwać? Można to zresztą rozważać w różnych aspektach: humanitarnym, etycznym, ekonomicznym, pod względem skutków dla kraju. Jak ogromne straty ekonomiczne ponosi Polska z tego tytułu! W jednym z poważnych pism zachodnich określono je na 6 mld dolarów. Kolejny aspekt — kulturalny. Gdy czytamy Mickiewicza, Kraszewskiego, mamy przed oczyma wspaniałe puszcze, knieje pełne zwierza. Jeżeli sytuacja obecna nie zmieni się, to za kilka lat nasze dzieci będą pytały: „co to jest puszcza?”. Przecież na naszych oczach giną puszcze Niepołomicka, Świętokrzyska, Białowieska. Na naszych oczach! Przecież ja jeszcze pamiętam wspaniałe puszcze! Dlaczego to poruszam? Bo grozi nam przerwanie więzi pokoleniowej, bo to, co dla naszego dziada i ojca było oczywiste, w tej chwili przestaje istnieć. Pojawiają się betonowe pustynie, zdezastrowane tereny, księżycowy krajobraz. Księżycowy, a nie ziemski. Zaś profesor Władysław Szafer zawsze podkreślał: „Człowiek jest synem matki Ziemi”. Trzeba o tym zawsze pamiętać.

Promieniści nry 15 (73) i 16 (74) z 21 kwietnia i 5 maja 1986.

WYWIADY Z TWÓRCAMI I KIEROWNIKAMI POLIGRAFII „TYGODNIKA MAZOWSZE”

Na początku 1987 roku rozpoczęliśmy pracę nad książką o gazecie-instytucji, Tygodniku Mazowsze. Przeprowadziliśmy wywiady z zespołem redakcyjnym, szefami poligrafii i kolportażu, przygotowaliśmy antologię informacyjnych i publicystycznych tekstów z pierwszych pięciu lat Tygodnika. Całość miała odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób z niezwykłą regularnością wydaje się w kilkudziesięciotysięcznym nakładzie podziemne pismo — najważniejszą gazetę „Solidarności” — od czasów heroizmu „naszej wiosny”, przez patos epoki represji i liryczną wizję „podziemnego społeczeństwa”, aż do ostatniej fali strajków i powrotu „Solidarności” na polityczną scenę.

Na razie publikujemy wywiady z twórcami i kierownikami poligrafii i kolportażu.

„NA KARKU TRZECIA SETKA”

„TYGODNIK MAZOWSZE” ODPOWIADA NA PYTANIA „PROMIENISTYCH”

4 marca bież. roku ukazał się 201 numer Tygodnika Mazowsze. W ten sposób jedno z najbardziej popularnych, reprezentatywnych i, co tu dużo mówić, najlepiej redagowanych (pomimo — lub dzięki — wielu kontrowersyjnych artykułów) pism powojennego II obiegu — wkroczyło w trzecią setkę numerów.

Z tej okazji zadaliśmy redakcji kilka pytań.

PROMIENIŚCI: — *Powszechnie uchodzą za jedno z najlepszych pism w kraju, a przy tym za jedno z najregularniejszych i o najdłuższym „stażu”. Jak się czujecie wśród takich opinii, które z pewnością są przyjemne, ale wysoko podciągają poprzeczkę — czy już uderzyła wam woda sodowa do głowy? A jak przedstawilibyście się w najkrótszy sposób? (Na marginesie: czy rzeczywiście jesteście najdłużej ukazującym się pismem?) Jak i kiedy się zaczęło?*

TYGODNIK MAZOWSZE: — Woda sodowa do głowy raczej nam nie uderzyła i, miejmy nadzieję, nigdy nie uderzy. Za komplementy dziękujemy. Docierają jednak do nas bardzo różne opinie o naszym „produkcie”, nierzadko mocno krytyczne. Jakie by zresztą one nie były, to nie opinie wyznaczają nam poprzeczkę: sami chcemy ją stawiać wysoko.

Zależy nam przede wszystkim na informacji. Pytania o linię pisma zawsze sprawiały nam kłopoty. Sądzimy, że daje się ona wyczytać z tego, co publikujemy.

Pierwsze zebranie zespołu redakcyjnego — w składzie podob-

nym do dzisiejszego — odbyło się 14 grudnia, ale *Tygodnik* z numerem 2 ukazał się dopiero w początkach lutego.

(Numer pierwszy symbolicznie został poświęcony Jerzemu Zieleńskiemu, młodemu dziennikarzowi, który jeszcze przed stanem wojennym należał do współorganizatorów planowanego, nowego pisma Tygodnik Mazowsze. 13 grudnia Zieleński popełnił samobójstwo. — Przypis red. Promienistych). Tytuł *Tygodnik Mazowsze* niewątpliwie nie ma zatem najdłuższego wojennego stażu — choćby wrocławskie *Z dnia na dzień* czy warszawskie *Wiadomości* ukazały się wcześniej.

P.: — *Kogo reprezentujecie? Czy jesteście redakcją w pełni niezależną, czy też może ktoś was „cenzuruje” (RKW, TKK)?*

T.M.: — Nikt nas nie cenzuruje z wyjątkiem nas samych. Jedyne, do czego czujemy się zobowiązani, to drukowanie oficjalnych dokumentów władz związku i naszego regionu. Były pojedyncze przypadki, kiedy radziliśmy się RKW, czy publikować szczególnie kontrowersyjne lub napastliwe teksty, jednak wyniki tych rozmów nigdy nie były dla nas wiążące. W każdym razie nie jesteśmy organem, jak to wszyscy nam do znudzenia wmawiają.

P.: — *A jaki macie — orientacyjnie — nakład? Czy sprzedaż Tygodnika Mazowsze pokrywa koszty produkcji?*

T.M.: — Nakładu nie potrafimy określić lepiej niż w przybliżeniu „kilkadziesiąt tysięcy”, ponieważ mniej lub bardziej regularnie drukuje nas różnymi technikami kilkadziesiąt firm. Wpływy ze sprzedaży nie pokrywają naszych kosztów, ale trzeba pamiętać, że gros pieniędzy za *Tygodnik Mazowsze* pozostaje w strukturach, które go drukują. Niedobory pokrywają wpłaty, raz ratowaliśmy się znaczkami. („Średni nakład wynosi około 50.000. Najwyższy — ponad 80.000 — mieliśmy w lutym 1985 roku; latem albo w jakichś drastycznych sytuacjach zdarza się, że spada poniżej 30.000. To wszystko są dane szacunkowe... Dokładne dane mamy tylko z naszej poligrafii, która robi najwyżej 30 % nakładu” — z wypowiedzi szefa poligrafii *Tygodnika Mazowsze* — T.M. nr 201).

P.: — *Czy możecie uchylić małego rąbka tajemnicy: czy faktycznie jesteście profesjonalistami (zarówno w sensie wykształcenia, jak i praktyki)? Może pismo redagowane jest przez cały olbrzymi sztab dziennikarski, wspomagany przez szereg szperaczy (researchers), pyszne, seksowne sekretarki, mikrokomputery naj-*

nowszej generacji plus dostęp do największego w kraju archiwum bibuły? Poza tym redagowanie pisma na tę skalę wymaga olbrzymich nakładów czasu i wysiłku, uniemożliwiając tym samym inną pracę zawodową. Czy należycie zatem do najlepiej opłacanych dziennikarzy w PRL (no, przynajmniej się...)? A jeżeli nie — to jak pogodzić waszą pracę z życiem prywatnym i zawodowym? W końcu: czy możecie ujawnić niektóre nazwiska „wielkich”, którzy z wami współpracowali?

T.M.: — Nie ma wśród nas ani jednej osoby z wykształceniem dziennikarskim, nikt też nie ma stażu w żadnym piśmie oficjalnym. Możemy nieskromnie powiedzieć, że przez pięć lat czegoś się nauczyliśmy — zwłaszcza wyciskania wody z tekstów i mieszcznienia maksimum treści w minimum objętości. Nie mamy żadnych komputerów ani sekretarek, czarna robota jest rozłożona na wszystkich, niekoniecznie równo. Z satysfakcją możemy przyznać, że mamy kilku zaprzyjaźnionych szperaczy, którzy współpracują z nami stale, i wielu przyjaciół, którzy poczuwają się do przekazywania nam wieści o tym, że dzieje się lub dzieje coś ciekawego. W sytuacjach awaryjnych, jak 31 sierpnia 1982 roku, zabójstwo ks. Popiełuszki, Czarnobyl czy aresztowanie Zbyszka Bujaka, potrafimy jednak zmobilizować rzeczywiście spore grono współpracowników i sympatyków (do kilkudziesięciu osób). Naszą prawdziwą chlubą jest bieżący wpływ prasy związkowej i jej archiwum, chyba największe w kraju.

Część z nas normalnie pracuje zawodowo, jest jednak kilka osób na etatach *Tygodnika Mazowsze* — pensje są na poziomie średniej krajowej, wprowadziliśmy też dodatek drożyzniowy. Życie osobiste każdego z nas oczywiście cierpi na pracy w *Tygodniku*, ale nie można powiedzieć, aby było jej podporządkowane — nikt chyba nie poświęcił ważnej sprawy osobistej dla *Tygodnika Mazowsze*, natomiast zdarzało się odwrotnie. Rozstania z *Tygodnikiem Mazowsze* są jednak rzadkie, bo nasza robota wciąż ma mocniej niż trawka. Bardzo mało śpimy — to dla nas charakterystyczne, ale chyba nie takie znowu nietypowe. Nazwiska? W setnym numerze ujawniliśmy Jacka Kalabińskiego, ostatnio Jacka Fedorowicza, na inne ujawnienia za wcześniej.

(Poligrafia *Tygodnika Mazowsze* to na pewno dużo większe przedsięwzięcie organizacyjne niż produkcyjne... Co tydzień potrzebujemy — jak ostatnio ktoś z nas obliczył — 37 mieszkań, przy czym na samo przygotowanie *Tygodnika Mazowsze* przed drukiem używamy 30.... Z naszymi współpracownikami spotykamy się bardzo często prywatnie, pomagamy sobie wzajemnie: kiedy na jakiejś skrzynce urodziło się dziecko, biegnie się na drugą

pobrać ubranka czy butelki. — Z wypowiedzi szefa poligrafii *Tygodnika Mazowsze*).

P. — *Mieliście szereg znakomitych wywiadów — którymi z nich chcielibyście się szczególnie pochwalić? Z jakich materiałów jesteście szczególnie zadowoleni, a co wam nie wyszło? Czy miał miejsce jakiś blamaż?*

T.M.: — Jeśli chcielibyśmy się pochwalić jakimiś wywiadami, to tymi, które szczególnie trudno zdobyć. Satysfakcję odczuwamy po trudnych momentach, które wymagały ogromnej mobilizacji — o przykładach już mówiliśmy. Blamażem jest dla nas podanie każdej informacji, która okazuje się fałszywa czy choćby częściowo skłamana — tego najbardziej się wstydzimy i prostujemy.

P.: — *Wydaje się nam, że w Tygodniku Mazowsze brakuje „typowego” dziennikarstwa — reportaży, ankiet, sondaży. Czy wynika to z programu, braku miejsca, braku chęci lub, nie daj Boże, umiejętności? Czy tematyka związkowa nie przeważa zbyt-
nio nad pozostałą? (Na przykład dość mało piszecie o młodzieży, rzecz jasna z punktu widzenia „Promienistych”).*

T.M.: — Za sondażami rzeczywiście nie przepadamy. Ankiet nie uważamy za typowe dziennikarstwo, a na dobre reportaże po prostu nas nie stać, choć bardzo chcielibyśmy je mieć. Sądzymy zresztą, że ten typ dziennikarstwa jest bardzo trudno dostępny gazetom podziemnym. Trudno mówić o przeroście tematyki związkowej, skoro mamy wrażenie, że jest jej raczej za mało. A o młodzieży chętnie pisalibyśmy więcej, gdyby napływało więcej informacji — na tanią dydaktykę przecież nie będziemy się silić.

P.: — *Jeszcze o sprawach technicznych. Jesteście pismem bardzo „schludnym” (skład komputerowy). Możecie coś więcej o tym powiedzieć? Jakie są możliwości dalszego poprawienia technicznej strony Tygodnika Mazowsze (np. zdjęcia, rysunki)? Czy komputer rozwiąże jakościowe kłopoty pism podziemnych? Co na razie stoi temu na przeszkodzie?*

T.M.: — To nie jest skład komputerowy, lecz tzw. składopis, czyli po prostu nieco mądrzejsza maszyna do pisania (potrafi wyrównać prawy margines i umożliwia niewielkie zróżnicowanie czcionek, choć trzeba się wtedy dodatkowo napracować). Bardzo dużo czasu poświęcamy na rozplanowanie każdej strony i często się kłócimy, jaki układ jest ładniejszy. Bywa, że nasze odczucia estetyczne kolidują z przekonaniem o merytorycznej ważności ma-

teriałów. Zdjęcia próbowaliśmy dawać, okazało się jednak, że wychodzą kiepsko, zwłaszcza na białku, i bardzo zależą od papieru (zdjęcia dziewczyn w rubryce „Więzień miesiąca”, zamiast być ich reklamą, okazały się naszą kompromitacją). Wierzimy, że komputer pomoże w łamaniu stron i urozmaiceniu graficznym prasy podziemnej, ale pytanie, w którym to nastąpi stuleciu? Zresztą najdroższy komputer nie załatwi za nas dobrego papieru, farby i kwalifikacji drukarzy.

P.: — *Na koniec troszkę pół żartem — pół serio i troszkę ideologicznie jednocześnie. Czy nie jesteście aby socjalistami?*

T.M.: — A co to dzisiaj oznacza?

P.: — *Hm, zostawmy to lepiej... Ilu numerów wam jeszcze życzyć?*

T.M.: — Podziemnych — jak najmniej, legalnych — jak najwięcej, ale może wtedy będzie je robiła inna redakcja...

P.: — *Takoż wam i życzymy.
Dziękujemy — cześć!*

Promieniści nr 13/89, 13 kwietnia 1987.

„ROZSĄDNE PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY”

JACEK I KAROL, SZELOWIE POLIGRAFII
OD PAŹDZIERNIKA 1984

PYTANIE: — *Kiedy przejęliście kierowanie produkcją Tygodnika?*

JACEK: — Nasz pierwszy samodzielny *Tygodnik Mazowski* miał numer 100, ukazał się z datą 4 października '84.

P.: — *Dlaczego właśnie Wy?*

KAROL: — Nie wiem. Różne wersje słyszałem na mieście.

P.: — *Mieliście jakieś doświadczenie?*

K.: — Przed wojną nie robiliśmy niczego w poligrafii. Po 13 grudnia stworzyliśmy gazetę. Gdy się rozpadła, uczestniczyliśmy w zakładaniu wydawnictwa, które drukowało między innymi *Tygodnik*.

P.: — *Przejęcie Tygodnika było dużym awansem. Tygodnik Mazowski jest jednym z największych przedsięwzięć podziemnej poligrafii.*

J.: — Największym. Nie chciałem się zgodzić, wątpilem, czy z moimi predyspozycjami jestem w stanie to pociągnąć. Ale redakcja przekonała nas, że sobie poradzimy. I pewnego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, okazało się, że mamy cały ten bałagan na głowie. Był najwyższy czas, żeby wszedł ktoś z zewnątrz, ludzie byli rzeczywiście skłócení, afeta goniła afetę.

K.: — Firma opierała się na dużej indywidualności Andrzeja. Przejęliśmy wszystkie jego innowacje. Zresztą do dziś, kiedy są jakieś problemy z maszyną, biegnę do Andrzeja. Mimo wszystkich konfliktów, które miał z redakcją, jego wkład w polografię *Tygodnika Mazowskiego* jest poza dyskusją.

P.: — *Tygodnik był zawsze drukowany przez wiele firm. Ile ich było, gdy przyszedłcie?*

J.: — Własna poligrafia *Tygodnika*, to raz. Duża firma offsetowa, dwa. Poza tym sześć powielaczowych. Wszystkie w Warszawie. Nakład od 5 do 40 tysięcy, zwykle około 30.

P.: — *Zacznijmy od własnej poligrafii Tygodnika. Co w niej zastaliście?*

J.: — Kolportaż ustawiony na kilkanaście tysięcy. Jeden offset, który po odejściu Andrzeja jest nie wiadomo czyj. Drukarz, który pracuje raczej gorzej niż lepiej i robi zwykle 7 tysięcy. Zdarzało się, że przyjeżdżamy do offsetu, a offsetu nie ma, bo ktoś z poprzedniej ekipy go zabrał. No i czekamy, przywiozą z powrotem czy nie. Albo zabierali go znienacka podczas naszego druku, nie wiadomo było, kto ma kończyć. Albo obiecywali, że zrobią *Tygodnik*, a wrzucali nam trzy strony, bo czwartej nie zdążyli.

K.: — Wtedy znacznie więcej robiła redakcja. Na jej głowie była duża część przygotowania — dostarczali nam gotowe, napisane na składopisie matryce białkowe oraz astralon.

J.: — Liczba matryc była ograniczona, bo składopis pisał na

okrągło, fafuły spadały i się zacięły. Gdy przyszła świeża partia matryc, to bywało na niej tyle oliwki, że wałki składopisu się zatłuszczały i astralon nie przyjmował karbonu. Z tego powodu jeden numer nie ukazał się na offsecie.

P.: — *Przygotownia, fafuły, astralon, karbon. Nic z tego nie rozumiem.*

J.: — Przygotownią nazywamy robienie matryc, blach i dia, czyli drukarskich półproduktów. Gdy przyszliśmy, wszystko opierało się na składopisie, takiej skomplikowanej maszynie do pisania z własną pamięcią, która może wielokrotnie odtworzyć raz wprowadzony tekst. Ze składopisu schodziło osiem kompletów matryc białkowych, służących do produkcji powielaczowej oraz astralon, czyli przezroczysta folia, używana w produkcji blach offsetowych oraz diapozytywów do sitodruku. Zarówno blachy jak i dia, dzięki zastosowaniu astrolonu, były robione metodą stykową, bez udziału fotografa.

K.: — Spróbuję to uporządkować. Do naszych zadań należało po pierwsze — wyprodukowanie blach, po drugie — przekazanie firmom drukującym *Tygodnik* blach oraz matryc napisanych przez redakcję na składopisie, po trzecie — wydrukowanie naszej części nakładu.

Gdy mi tę robotę proponowano, usłyszałem, że zajmuje trzy dni w tygodniu po osiem godzin. A co się okazało? Siedem dni w tygodniu i nielimitowany czas pracy.

J.: — Najbardziej denerwujące było jednak co innego. Napływały kolejne prośby od ludzi, także od firm spoza Warszawy, którzy chcieli robić *Tygodnik Mazowsze*, a my nie mogliśmy ich obsłużyć, bo nie nadążała przygotownia. Wąskim gardłem okazały się matryce pisane na składopisie. Wymyśliliśmy, że jeżeli jakaś firma nie wydrukuje *Tygodnika* trzy razy, to im zabieramy matryce i dajemy komuś innemu. Potem namówiliśmy jedną z firm na przejście z powielacza na offset i w ten sposób parę matryc się zwolniło. Ta łatanina niczego jednak na dłuższą metę nie rozwiązywała.

K.: — Stawało się dla nas jasne, że nie można całej produkcji *Tygodnika* opierać na składopisie. Zresztą w końcu nie wytrzymałyby pisanie na matrycach białkowych, jest przecież przeznaczony do pisania na papierze.

J.: — Nasz pomysł był taki: ze składopisu schodzi wyłącznie jedna papierowa makieta *Tygodnika* i ona jest podstawą dalszej

produkcji. Zatrudniamy fotografa, którego zadaniem jest zrobienie fotograficznego negatywu makiety. Negatyw pozwala wykonać nieograniczoną liczbę blach i diapoztywów na sito. Z tej samej papierowej makiety produkuje się też matryce białkowe, przy pomocy urządzenia zwanego elektrofaksem. Po długich bojach udało nam się przekonać redakcję i nasza koncepcja została wprowadzona w życie. Oznaczało to dla nich konieczność zamknięcia numeru o 14 godzin wcześniej, ale my mogliśmy teraz obsłużyć każdą ilość kontrahentów.

K.: — Firm, które drukują *Tygodnik Mazowsze*. Którym trzeba dostarczyć matryce, blachy albo dia.

J.: — To się tylko tak mówi matryce, blachy...

K.: — Świadczymy im wszelkie usługi techniczne, dajemy to, co mamy w magazynach: siatkę, emulsję, papier. Nam zależy tak samo jak im, żeby nie opuścili żadnego numeru.

J.: — Są takie okresy, kiedy jeden z nas pracuje więcej, pada na pysk i ma wtedy tendencję do eliminowania ogniów i odmawiania kontrahentom. Wówczas drugi staje się ekspansywny, ma nowe pomysły, szuka kontaktów.

K.: — Coś się wali, coś trzeba łątać, nie mam już siły, chcę zrobić *deadline*. A wtedy Jacek mówi: Słuchaj, jest nowy kontrahent, można mieć za darmo pięć tysięcy nakładu więcej.

J.: — Najśmieszniejsze, że potem role się odwracają.

P.: — *Wasza działalność polegała na powiększaniu liczby kontrahentów. A co z własną produkcją?*

J.: — Nie zwiększaliśmy, próbowaliśmy ją tylko ustabilizować.

K.: — Siedzimy w samym środku *Tygodnika*, więc powinniśmy jak najmniej obciążać bezpieczeństwo.

J.: — Redakcja usiłowała nas nawet zmusić, byśmy się pozbyli własnej produkcji, zostali wyłącznie przygotowalnią, usługówką dla innych firm. Naciskano nas tak z 4-5 miesięcy.

P.: — *Jakie mieliście kontrargumenty?*

J.: — Zasadniczy, że musimy błyskawicznie sprawdzać jakość naszych blach. A można to zrobić tylko w jeden sposób: samemu drukując. Druga rzecz, to była potrzeba psychiczna.

K.: — I prestiżowa. Chcieliśmy pokazać, że jesteśmy dobrzy, nie

gorsi od innych. Bez tego nie dałoby się wymagać od kontrahentów, by porządnie i na czas drukowali *Tygodnik*.

P.: — *Zwiększyliście liczbę kontrahentów, czy wzrósł też nakład?*

K.: — Nakład *Tygodnika* w lutym '85 osiągnął 80 tysięcy. Drukowało nas wtedy pięć dużych firm offsetowych. Ale to się nie mogło utrzymać. Firma, która robi ponad 10 tysięcy *Tygodnika Mazowsze*, to jest 40 ryz, długo nie pożyje. Wpadnie drukarnia albo wpadnie transport.

J.: — Bałem się, że jak osiągniemy 100 tysięcy, ludzie zaczną wyrzucać *Tygodnik Mazowsze* przez okno. Na szczęście tfu, na szczęście, wkroczyła policja, zgarnęła dwie drukarnie i nakład zmalał do rozsądnych 50 tysięcy.

P.: — *Ile firm dzisiaj drukuje Tygodnik?*

J.: — Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że wyszliśmy poza Warszawę. *Tygodnik* jest drukowany we Wrocławiu, Krakowie, Gdańsku, Szczecinie — po 2-3 tysiące. O mniejszych ośrodkach nie powiem ze względu na ich bezpieczeństwo.

K.: — Rosła też liczba kontrahentów z Warszawy. Pod koniec '85 roku firm zrobiło się tyle, że zaczęliśmy się gubić z ich nazwami. Dziś drukuje nas 17 firm.

J.: — Było ich w sumie co najmniej dwa razy więcej, ale wielu kontrahentów nie wytrzymało. *Tygodnikowa* regularność zabija. Nauczyliśmy się na rozlicznych przykładach, że jeśli firma zrobi cztery numery jeden po drugim, to znaczy, że będzie drukowała. Bo tak na wdechu nie da się zrobić więcej niż trzy.

P.: — *Ile osób jest wprzęgniętych w produkcję Tygodnika Mazowsze?*

J.: — Nie sposób powiedzieć, gdzie ten *Tygodnik* się kończy. Nawet firmy, dla których *Tygodnik Mazowsze* to tylko część produkcji, identyfikują się z nami, mówią „my z *Tygodnika*”. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile to łącznie może być osób. Tylko u nas, czyli w przygotowalni i rozwórze, razem z kierownikami i łącznikami pracuje ze 30-40. Nie liczę oczywiście skrzynek innych firm ani naszego sektora drukującego. A mamy teraz cztery własne ekipy drukarskie.

P.: — *Po co aż cztery, skoro nie zwiększacie produkcji?*

K.: — Decydują względy bhp — mniejsza produkcja w jednym miejscu oznacza większe bezpieczeństwo.

J.: — Naszą silną stroną jest przygotowalnia, nie druk. Rozumujemy tak: jeżeli my nie wydrukujemy *Tygodnika Mazowsze*, to zabraknie kilkanaście procent ogólnego nakładu, ale jeżeli nawalimy z matrycami czy blachami, to *Tygodnika* nie będzie w ogóle. Mamy cztery maszyny, jednak nie zawsze wszystkie pracują, bo gdy brakuje nam lokali, to zawsze pierwszeństwo ma przygotowalnia.

K.: — Startowaliśmy od dwóch lokali, a w tej chwili dla samej przygotowalni potrzeba ich około trzydziestu.

P.: — *Po co aż tyle?*

K.: — Musimy gdzieś wyprodukować diapozytywy, gdzieś matryce, gdzieś blachy i wrzucić je na tak zwane śluzy, bo zgodnie z bhp kontrahenci nie odbierają wprost z miejsca produkcji. Osoby, które rozwożą, muszą mieć dodatkowe lokale, żeby — w przypadku, gdy na skrzynce nikogo nie zastaną — nie brały do domu czy nie niszczyły. Muszą być lokale na magazyny sprzętu, odczynników i tak dalej. Muszą być miejsca na korespondencję od kontrahentów. Plus to, że podstawowe lokale mamy zdwojone.

P.: — *Licząc wszystkie firmy drukujące Tygodnik Mazowsze, w produkcję Tygodnika zaangażowana jest grubo ponad setka ludzi.*

J.: — Bardzo grubo ponad setka.

K.: — Są dwuosobowe firmy, które biorą od nas diapozytywy, robią na sitku i same kolportują. Są giganty, które mają po kilka offsetów i zatrudniają po kilkudziesięciu ludzi.

J.: — Szczerze mówiąc, mnie w ogóle nie obchodzi, ile osób w jakiejś firmie drukuje *Tygodnik*. Nas interesuje wyłącznie jakość ich produktu i nakład. Tych informacji żądamy.

K.: — Nasze kontakty z kontrahentami to osobny rozdział. Niektórzy biorą ze skrzynki matryce i od czasu do czasu przysyłają wydruki. Nie wiemy nawet czy działają w Warszawie. Inni mają stale jakieś prośby. Dobrze, kiedy się kończy na ożywionej korespondencji, ale często chcą zobaczyć kogoś od nas, żywego czy martwego. Ganiają za nami, żebyśmy na przykład zrobili matryce *Bazy* albo machnęli trzy książki.

J.: — Niekiedy po prostu przestaję się czuć pracownikiem *Tygodnika Mazowsze*. Przychodzę na przykład na skrzynkę i ktoś mi wciska trzy ryzy *Feniksa* z Gorzowa. Wszyscy się ze mnie nabijają, że mam nowy etat — kolporter *Feniksa*, bo nie wyrzuciłem do kosza na śmieci, a powinienem. I takie sytuacje są bez przerwy.

K.: — Wiadomo na mieście, że popieramy inicjatywy drukarskie i że dla *Tygodnika Mazowsze* nie ma rzeczy nie do załatwienia. Nam się to odbija czkawką.

J.: — Nie dostajemy sprzętu z centralnego rozdzielnika, bo mówi się, że jesteśmy najbogatszą firmą w Polsce, a my naprawdę nie stoimy najlepiej z pieniędzmi. Na rynku poligraficznym są różne rozliczenia. My wszystko to, co dostaliśmy za darmo — oddajemy za darmo, o co kupiliśmy — sprzedajemy po takiej samej cenie.

K.: — Pół roku temu przekazaliśmy rozkręcającej się firmie jeden z naszych offsetów. Poprosiliśmy RKW o zwrot kosztów. Odpowiedzieli, że nie mają pieniędzy, co nie było zgodne z prawdą.

J.: — Nigdy nie dostaliśmy od nich ani grosza, na odpieprz dali nam kiedyś jeden zużyty offset. RKW, które chętnie wspomaga PWA czy Wole, w ogóle nie dostrzega, że istnieje coś takiego jak poligrafia *Tygodnika Mazowsze*. Może w ten sposób próbują równoważyć siły, tworzyć konkurencyjność, a może po prostu daje znać o sobie zadawniony konflikt między RKW a *Tygodnikiem Mazowsze*.

P.: — *Lamentujecie, macie pretensje. Czy Tygodnik Mazowsze nie może sobie sam załatwić sprzętu i materiałów technicznych na Zachodzie?*

K.: — A myślicie, że jak funkcjonujemy?

P.: — *Czy starcza Wam tego, co dostajecie?*

K.: — Różnie. Jest znacznie lepiej niż parę lat temu, ale i dziś robimy czasem numer na ostatnich blachach, a nowe musimy w ciągu kilku dni zorganizować z powietrza.

J.: — Sugerujecie, że dostajemy z Zachodu, a moglibyśmy organizować tu, to nie jest *fair*. Uzależnienie od Zachodu jest po prostu wynikiem konieczności. W Polsce na przykład w ogóle nie robi się blach uczulonych. Są czeskie, które mają nierówną emul-

sję albo fragmenty bez emulsji. Usiłowaliśmy na nich robić *Tygodnik*, ale się nie da.

K.: — Trzeba sobie zdać sprawę, że nawet państwowa mała poligrafia używa niemal wyłącznie maszyn zachodnich.

J.: — Najgorzej jest z papierem. Nie wiem, jakim cudem udało się w PRL-u osiągnąć tę rewelacyjną jakość: ryzy przecięte tak tępym nożem, że nie można rozdzielić kartek, raz są trapezoidalne, raz romboidalne i o innych bliżej nieokreślonych kształtach, półtora centymetra dłuższe albo krótsze. Papier o tej samej nazwie, z tej samej papierni, tej samej klasy i gramatury, może być taki sobie, zły albo tragicznie zły. Wszystkie maszyny, na których pracujemy, mają cierne podawanie papieru — on po prostu musi trzymać format i sztywność! O ile na papierze średniej jakości drukarz jest w stanie zrobić 6 tysięcy *Tygodnika Mazowsze* w ciągu ośmiu godzin, to na takim gównie drukuje 3 i pół tysiąca w dwie doby.

P.: — *Jak zdobywacie papier?*

K.: — Kiedyś *Tygodnik* ukazał się tylko dzięki temu, że przeszedłem się po wszystkich znanych pracujących w biurach i każdemu wyciągnąłem z szuflady służbową ryżę.

J.: — Czasy, kiedy jedynym problemem było zapłacenie odpowiedniej sumy, minęły bezpowrotnie. Jest ogromna konkurencja. W Warszawie walczą dziś o papier rzemieślnicy, polonijne firmy i ze dwadzieścia niezależnych oficyn. Niektórzy płacą nawet dolarami. Nam wciąż udaje się nie poddawać szaleństwu cen — są jeszcze dostawcy, którzy nie chcą zbyt wiele zarabiać na *Tygodniku*.

P.: — *Jak wyglądają Wasze finanse?*

K.: — Zaczniemy od tego, że mniej nam zależy na zysku, niż na tym, żeby jak najwięcej firm drukowało *Tygodnik*. Dochody ze sprzedaży produktów przygotowalni przekazujemy redakcji. Nie są to duże pieniądze: blachy sprzedajemy po 7 tysięcy, matryce po 4, diapozytywy po 2. Dzięki tak niskim cenom produkcja *Tygodnika* opłaca się nawet firmom, które nie są w stanie drukować dużo.

P.: — *Z czego się więc utrzymujecie?*

J.: — Z własnego druku i redakcyjnych dotacji. Nasze drukarnie

przynoszą zyski, bo, jak mówiłem, papier kupujemy tanio i mało płacimy ludziom.

K.: — Nasz drukarz, blacharz lub fotograf może na sprzęcie *Tygodnika Mazowsze* wykonywać usługi dla innych firm, ale wyłącznie te, na które się zgodzimy po sprawdzeniu bezpieczeństwa. I głównie na takich oficjalnych bocznych ludzi u nas zarabiają.

J.: — Każdy pracownik poligrafii *Tygodnika Mazowsze* wie, że za nie zgłoszone fuchy wyleciałby natychmiast z pracy. Jesteśmy tak pryncypialni, bo mamy świadomość, jak mogą być niebezpieczne, ilu drukarzy z różnych firm przez nie siadło.

P.: — *A ile wpadek Wy mieliście dotychczas?*

J.: — Żadnej. Choć kilka razy otarliśmy się o nie. Często bywa nie tyle niebezpiecznie, co nerwowo. Milicja zatrzymuje nasze samochody, bo jest jakaś olbrzymia akcja „Trzeźwość”. Albo ta straszna „Posesja”. Nie możemy się pozbyć zagrożenia, natomiast jesteśmy w stanie wyeliminować niedopatrzienia — jadąc samochodem często spoglądamy w lusterko, ograniczamy kontakty z ludźmi znanymi policji. Najważniejsza dla bhp jest jednak sprawnie działająca sieć szybkiej informacji.

K.: — Właśnie z tym miewamy trudności. Raz było rzeczywiście groźnie: policja zrobiła kocioł w mieszkaniu, do którego miała iść nasza łączniczka, a my nie mieliśmy już jak jej ostrzec. Mogliśmy właściwie tylko się modlić. I stał się cud — nie weszła tam.

P.: — *Opiszcie typ człowieka, który pracuje w poligrafii. Jest takie wyobrażenie drukarza — ryzykant, łasy na pieniądze, kowboj.*

J.: — Są u nas dwie panie, w metryki im nie zaglądam, ale obydwie mają już wnuki i nie wyglądają na kowbojów. Nie ma natomiast wysokich, brodatych konspiratorów w puchowych kurtkach i dżinsach.

K.: — Nie można też mówić o chęci zysku, większość funkcji nie jest płatna, a niektóre są bardzo niewdzięczne. Trzeba raz w tygodniu gdzieś pójść, coś załatwić, zawsze to samo. Jak w fabryce: przesuwac drążek, nie widząc dalszego efektu.

P.: — *To dlaczego ludzie u Was pracują?*

K.: — Jedna pani, która przez długi czas dawała nam mieszkanie, powiedziała pewnego dnia, że ona strasznie by chciała coś robić,

bo jest to jej potrzebne dla dobrego samopoczucia. Zgodziliśmy się, a że nie można być jednocześnie pracownikiem poligrafii i gospodarzem skrzynki, straciliśmy lokal. Pani dostała ryzykowną, nudną, nieopłacalną robotę, ale jest szczęśliwa.

J.: — Z konspiracji wypadło wielu narwańców, szaleńców, którzy robili na zawał. A pojawili się ludzie, którzy poza podziemiem mają — na tyle, na ile to możliwe — normalne życie, rodziny, pracują zawodowo.

P.: — *A dlaczego Wy pracujecie w podziemiu?*

J.: — Proszę o drugi zestaw pytań.

K.: — To będzie bardzo ogólna odpowiedź: w PRL-u po prostu trudno inaczej żyć. Ta praca to jedyny sposób, żeby się trochę zrealizować. Żeby się nie dać udupić.

P.: — *Nie przesadzasz?*

K.: — Może nie jedyny, jeden z wielu...

J.: — Jeden z niewielu.

K.: — Tak, jeden z niewielu. Ten kraj wygląda tak jak wygląda z powodu apolityczności dużej części społeczeństwa. Garnek zajmuje ludziom tyle czasu, że już nie starcza na myślenie. Ja nie chcę być jednym z tej armii szarych ludzi. Ale też nie jest moim marzeniem, żeby całe życie tkwić w podziemiu.

J.: — Kiedy przychodzę do kogoś, to już nie jako ja, ale jako *Tygodnik* — chcąc nie chcąc staję się osobą publiczną. Dlatego nie mam prawa nawalić. Rośnie poziom odpowiedzialności, chyba we krwi.

K.: — Nasz znajomy twierdzi, że zaczyna się kolaborować z rządem odkręcając kran z wodą, a ja uważam, że można w ogóle nie kolaborować. My właściwie nie mamy styczności z PRL-em. Jestem szczęśliwy, że wyrwałem się spod tego straszliwie opiekuńczego państwa, które teoretycznie zapewnia wszystko, a tak naprawdę wszystko uniemożliwia.

P.: — *Jak wyglądają Wasze stosunki z redakcją?*

J.: — Może lepiej nie nagrywajcie.

P.: — *Dlaczego?*

J.: — Bo znowu wisi afera w powietrzu. Zarzucają mi często,

że nie cenię redakcji. Cenię, mam dużo szacunku, zaufania i tak dalej. Ale kiedy redakcja załatwia innej firmie coś, czego bezskutecznie szukam od miesiąca, to po prostu doprowadza mnie to do paraliżu albo innego podobnego stanu.

P.: — *Redakcja nie interesuje się własną poligrafią?*

K.: — Oj, strasznie uogólniacie, to jest prowokacyjne pytanie.

J.: — Możemy pociągnąć ten wątek. Redakcja interesuje się poligrafią raz na tydzień, zawsze tego samego dnia, o tej samej godzinie — kiedy dostaje wydrukowany *Tygodnik*.

P.: — *Patrzą na Was jak na instytucję usługową?*

K.: — Gdy zaczynaliśmy pracę, powiedzieli, że biorą na siebie nieograniczoną pomoc.

P.: — *I jak z tym było?*

J.: — Kiepsko.

K.: — A teraz jest jeszcze gorzej. Przyzwyczaili się, że bez kiwnięcia palcem i tak dostają swoją pulę *Tygodnika*. Uznali więc, że podział na redakcję i poligrafię ostatecznie się dokonał.

J.: — Trzeba jednak powiedzieć, że sami im w tym pomogliśmy, bo jak oni nawalali ze swoimi zobowiązaniami wobec poligrafii, to robiliśmy za nich, żeby *Tygodnik* się jednak ukazał.

K.: — Było kiedyś krucho z papierem i poprosiliśmy redakcję, żeby pozbierała, mają przecież tłumy znajomych literatów, dziennikarzy, naukowców. Przygotowaliśmy dwa samochody, dwa magazyny. Zgadnijcie, ile zebrali? Ani jednej ryzy.

J.: — Albo co innego. Ktoś z redakcji mówi mi niedawno: taki dobry lokal wam oddałam, taki dobry, a mogłam tam zrobić archiwum. Ze strasznym żalem mówi. Jak coś takiego słyszę, to mnie w dołku ściska. Archiwum można zrobić prawie wszędzie.

K.: — Lokal się marnuje, bo tam się drukuje.

J.: — Redakcja bierze 1.700 gratisów. Po co im tyle?

K.: — Nie powinno też być tak, że redakcja przekazuje nam makietę z takim oto liścikiem: „Pierwsza strona ma 101 wersów, druga 106. Buzi, buzi, mam nadzieję, że sobie poradzicie”. A potem inne firmy piszą do nas listy z kurwami i mają rację, bo na kartce A 4 nie mieści się więcej niż 96 wierszy.

J.: — Rok temu, żeby zaoszczędzić papier, zwiększyć bezpieczeństwo, ułatwić przewozy, zaczęliśmy robić na offsecie mały *Tygodnik* w formacie A 5. Rozpętała się burza. Redakcja krzyczała, że nam nie wolno, że nieczytelny, że jeśli brakuje papieru, to mamy obciąć nakład.

K.: — Czyli w przeciwnym kierunku niż cała polityka poligrafii — zawsze usiłujemy dostosować się do zapotrzebowań kolportażu. Nie skutkował nawet argument, że często duży powielaczowy *Tygodnik Mazowsze* z innych firm jest mniej czytelny niż nasz mały offsetowy. Redakcja po prostu zapomniała, że jeżeli w poligrafii zapada jakaś decyzja, to dlatego, że dbamy o dobro *Tygodnika*, a nie dlatego, że nam się nie chce robić.

P.: — No, duży worek z pretensjami. Słyszeliśmy, że miewacie też zastrzeżenia do sposobu redagowania *Tygodnika Mazowsze*.

K.: — W ostatnim numerze redakcja dała tuż obok siebie nie uzgodnione, częściowo sprzeczne oświadczenia TR„S” i TKK bez słowa komentarza. Drukarzy po prostu szlag trafił, bo oni muszą taką rzecz powielić w tysiącach egzemplarzy.

J.: — W wielu firmach jest tak: przychodzi drukarz i wszystko mu jedno co drukuje, byle zarobił. W *Tygodniku Mazowsze* nie ma takiego kapitalistycznego podejścia. Jeżeli mówię, że ostatnie numery są nie do czytania, to mam prawo tak powiedzieć, bo chcę robić *Tygodnik Mazowsze*, a nie co innego. Mówię, bo jestem zmartwiony, a nie po to, żeby przypieprzyć. Gdyby mi ktoś to samo powiedział na mieście, bym po prostu oczy wydrapał.

Luty 1987

„PRZYGODA Z KONSPIRACJĄ POWOLI SIĘ KOŃCZY”

ANDRZEJ, SZEFE POLIGRAFII
OD GRUDNIA 1981 DO PAŹDZIERNIKA 1984

PYTANIE: — Już po dwóch miesiącach stanu wojennego podziemne struktury były zdolne rozpocząć regularny druk *Tygodnika*.

ANDRZEJ: — Trzeba zacząć od rozwiania mitu, jakoby Region jeszcze przed 13 grudnia zgromadził w podziemiu tony papieru, setki maszyn, rezerwowo ekipy drukarskie. Jeżeli nie liczyć tego, co w piwniczkach pochowali na czarną godzinę KOR-owcy, nie ostało się nic i trzeba było zaczynać od początku. Moim zdaniem było to nieuniknione, bo „Solidarność” nie dorosła koncepcyjnie do 13 grudnia. Inna sprawa, czy w ogóle można było przewidzieć, jak będzie wyglądał stan wojenny, jak silny będzie opór, kto wyemigruje, kto zostanie.

P.: — *Czy w Regionie dyskutowano, jak przygotować się na uderzenie władzy?*

A.: — Rozmowy były, ale tak się dziwnie składało, że brały w nich udział osoby spoza głównego nurtu „Solidarności”. Działacze, którzy byli akurat na fali, nie zajmowali się takimi głupstwami. Uważało się też powszechnie, że stopień infiltracji uniemożliwia budowanie struktury konspiracyjnej. Te obawy okazały się mocno przesadzone.

P.: — *13 grudnia udało Ci się uniknąć internowania.*

A.: — Rzeczywiście, udało mi się jako jednemu z nielicznych. Zaskoczeniem dla mnie była słabość oporu, nie sądziłem, że władza tak łatwo zdusi ten ruch. Gdy okazało się, że nie ma powstania i nie widać nawet cienia szansy na kompromis, uznałem, że jedynym wyjściem jest podjęcie działań niejawnych. Pomogło mi w tym doświadczenie z czasów KOR-owskich.

Przed *Tygodnikiem Mazowsze* pojawiły się jakieś informatory czy ulotki, ale dopiero pierwszy numer *Tygodnika* otworzył działalność Regionu. Fakt, że ukazało się coś z oficjalnym stemplem, miał ogromne znaczenie symboliczne. Dziś ten dwumiesięczny okres przygotowań wydaje mi się bardzo krótki, ale wtedy strasznie się dłużył.

P.: — *Jak konkretnie wyglądały przygotowania?*

A.: — Jako człowiek z pewnym doświadczeniem zdawałem sobie sprawę, że warunki do wydawania pisma o wysokim nakładzie są fatalne. Sam druk nie był problemem, ale jak taką masę papieru zgromadzić w jednym miejscu, a później rozkolportować? Rewidowano przecież dokładnie samochody, zaglądano ludziom do toreb. Było jasne, że trzeba szukać innych rozwiązań niż scentralizowana produkcja i kolportaż. Stąd narodził się pomysł

na poligrafię *Tygodnika Mazowsze*: my przygotowujemy matryce i blachy, a drukują i kolportują różne, nie powiązane ze sobą firmy. Poza względami bezpieczeństwa ta koncepcja wiązała się z przekonaniem, że wybuchnie strajk generalny — a celem podziemia jest stosowanie groźby strajku generalnego jako formy nacisku na władzę. Należało więc budować autonomiczne grupy, najlepiej połączone ze sobą strukturami zakładowymi, które byłyby w stanie działać samodzielnie w wypadku zerwania łączności. Decyzja, by samemu nie drukować, brała się także ze zwykłego wygodnictwa. Tak czy inaczej, dzięki decentralizacji uchowaliśmy się przez całą wojnę.

Mój pomysł na poligrafię *Tygodnika Mazowsze* był możliwy tylko dzięki temu, że szczęśliwie ocalał składopis, wyniesiony z Mazowsza 13 grudnia rano. Trafił do osoby, która ze strachu z nikim nie chciała się skontaktować. Na szczęście była zaprzyjaźniona z człowiekiem z „Kręgu”, który go od niej zabrał. Uznał słusznie, że posiada rzecz cenną, więc nie chciał jej nikomu oddać. Ale w końcu oddał. Składopis to był skarb. Pozwalał szybko i bezpiecznie wyprodukować wiele matryc białkowych oraz diapozytywów do produkcji blach i sita.

Na początku to wyglądało trochę jak w Smolnym: kilka osób z redakcji siedziało nad składopisem i wystukiwało teksty. Zrobione na składopisie matryce białkowe oraz wykonane już poza redakcją blachy do offsetu i dia do sita były rozwożone po różnych skrzynkach, skąd odbierały je firmy drukujące *Tygodnik Mazowsze*.

P.: — Czy od samego początku produkcja *Tygodnika* była zorganizowana według tej zasady?

A.: — Tak. Pierwszy numer został wydrukowany przez „NOWĄ” na jednym offsecie, zakamuflowanym od przed wojny. Nakład był rzędu dwu tysięcy. Niedługo potem dołączył „Krąg”, który miał kompletny offset, ale trzeba go było im uruchomić. Przy siódmym albo dziewiątym numerze — „CDN”. W zamian za drukowanie *Tygodnika* dostał od nas dwa offsety i przeszkoloną załogę.

P.: — „Od nas” — to znaczy?

A.: — Od Regionu. Już wtedy zaczęły przychodzić z Zachodu maszyny i części. Było więc czym pohandlować... Moja praca

polegała na łączeniu nitek, bieganiu między firmami, namawianiu do drukowania *Tygodnika Mazowsze*. Proponowałem w zamian na przykład części do maszyn. W normalnych czasach, jak ktoś nie ma puszki do powielacza, jedzie do Berlina Zachodniego. Wtedy my ją załatwialiśmy.

Trzeba pamiętać, że ludzi, którzy chcieli redagować pisma, było bardzo dużo, a tych, którzy drukowali i na dodatek mieli połączenia kolportażowe — znacznie mniej. Nie tylko więc ja zgłaszałem się do tych firm, propozycje mieli z wielu stron. Do tego dotacje, które dawaliśmy na rozruch, nie pokrywały w żadnym razie kosztów produkcji. Dopiero później zaczęły napływać składki — przyjęliśmy wtedy zasadę, że każda firma zatrzymuje je na własne potrzeby. Ale to było później. Na początku każdy musiał sporo włożyć.

P.: — *Skąd więc to zainteresowanie?*

A.: — Krążyło mnóstwo plotek, że ubecja podszywa się pod działalność, a robienie *Tygodnika* uwiarygodniało, kończyły się pomówienia. Choć pamiętam, że czasem zdarzało się odwrotnie. Niektóre numery *Tygodnika Mazowsze* były tak porządnie zrobione, że uznawano je za ubeckie fałszywki. Trzeba pamiętać, że produkcja wielu firm, szczególnie na ramkach, była wówczas zupełnie nieczytelna. Sąd uniewinnił Rolanda Kruka, ponieważ nie mógł odczytać druków ulotnych, które ten wyprodukował.

P.: — *Na ile rzetelnie firmy drukowały Tygodnik Mazowsze?*

A.: — Załatwiałem serwis maszyn, więc mogłem od czasu do czasu porozmawiać z drukarzami, dowiedzieć się, że sprawozdania, które pisali ich szefowie, były prawdziwe. Na ogół nie były, podawały wynik maksymalny, który oczywiście udawało się osiągnąć raz na jakiś czas. Bywało też tak, że drukarze zrobili trzy strony i maszyna się psuła, wywieźli te trzy strony, a że nie wszyscy chcieli brać do kolportażu, więc część wracała, dorabiali czwartą, bo w międzyczasie zreperowali maszynę, ale robiło się już tak późno, że lepiej było utopić niż kolportować. Albo gdzieś zginęły matryce. Albo papieru nie dowieźli. Albo dowieźli nie taki jak trzeba. Oczywiście rzadko wszyscy mieli kłops jednocześnie, to się jakoś statystycznie rozkładało. Mimo że na mieście było już sporo *Tygodnika*, do RKW co chwilę przychodziły interwencje. Na przykład skandal: Ursus nie ma *Tygodnika Mazowsze!*

P.: — *Czy to właśnie wtedy zdecydowaliście się na zmianę koncepcji i uruchomienie własnej drukarni?*

A.: — Tak. Pomysł był taki, żeby łątać dziury, wyrównywać braki na rynku. Pomysł, jak się okazało, chybiony, bo nie można było zorganizować tak sprawnej sieci rezerwowej. Poza tym dzisiaj, z większego dystansu, wiem, że interwencja z Ursusa oznaczała tylko, że jakiś działacz na trudnym do ustalenia szczeblu nie dostał gazety. Natomiast w zakładzie nie musiało jej brakować, bo dochodziła kilkoma kanałami.

Już w okresie przedsierpniowym działacze budowali swój prestiż na niezależnej prasie, na tym, ile jej brali i gdzie kolportowali. Dlatego niektórzy twierdzili, że rozprowadzają w ważnym zakładzie, a w rzeczywistości kolportowali wśród przypadkowych odbiorców albo wcale. W ogóle entropia niezależnej działalności wydawniczej jest olbrzymia. Nie chcę się silić na oceny, ale sądzę, że ponad połowa produkcji idzie na rozkurz. Wprowadzenie płatności, te 15 czy 20 złotych za egzemplarz, które w *Tygodniku* nastąpiło po moim odejściu, niewiele chyba pomogło.

P.: — *Kiedy rozpoczęliście własny druk?*

A.: — Bij zabij, nie pamiętam.

P.: — *Mieliście offset?*

A.: — Tak, przechowywany w Ursusie. Zabrzmiało to jak anegdota, ale gdy wyjeżdżaliśmy z Ursusa, kierowca ruszył za ostro i offset spadł z przyczepy. Jednym rogiem uderzył o ziemię i zwichrował się. Zawieźliśmy go do stodoły w Milanówku, podłączyliśmy i zaczęliśmy walić młotem w przeciwległy róg. W pewnym momencie naprostował się trochę i ruszył. Później często odzywało mu się to skrzywienie. Kiedy to było? Pamiętam jakieś roztopy, ciężko było dojechać. Musiała być wiosna '82. Nastąpił okres rutynowego i w miarę spokojnego działania. Wtedy zdarzyła się smutna historia z Rozyną. Rozyna, szef kolportażu w Regionie, „zwarował”. Zaczęło się od tego, że trafił na grupę mitomanów. Rzucali ulotki, głównie w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej, który rozpoznali jako słabe miejsce bolszewika. Cała grupa została szybko namierzona przez policję. Śledzony Rozyna zastosował wszystkie sposoby zgubienia ogona: skoki z jadącego pociągu i numery z wiaduktami, ale bezskutecznie. Jego opowieści brzmiały wiarygodnie, był człowiekiem doświadczonym — działał jeszcze przed Sierpniem. Jeżeli policja chodzi za kimś przez miesiąc i nie zamyka od razu, to musi zdawać sobie sprawę, że

trafiła w miękkie. Baliśmy się, że nas rozpracowali. Zresztą Rozyna napisał taki słynny list, bardzo długi, w którym wyliczał wszystkie przypadki, gdzie nas, włącznie z Bujakiem, namierzano.

P.: — *Czy wówczas wiedziałeś, że to paranoja?*

A.: — Można było myśleć, że przyświrował, ale trzeba było postąpić rutynowo. Musieliśmy się głębiej zakonspirować: wszystko pochować, zwinąć, przewentylować, przepatrzyć. A Rozyna wyjechał gdzieś na wieś, zaszył się. Później się ujawnił. Mimo tej całej historii można powiedzieć, że już w '82 roku poligrafia *Tygodnika Mazowsze* była kwitnącą organizacją.

P.: — *Ile firm drukowało wtedy Tygodnik?*

A.: — To było bardzo płynne, co chwila kogoś zamykali, ktoś wyjeżdżał za granicę, ktoś rezygnował. Apogeum nakładu przyszło w czerwcu '82, po majowej euforii. Musiało być wtedy z 50 tysięcy. „NOWA” twierdziła, że robi około 18, „CDN” — 12, „Krag” — 10, my też 10.

Wszystko niby szło wspaniale, ale wytworzyła się taka rutyna, że zacząłem się czuć niepotrzebny.

P.: — *Mówiąc o rutynie, masz na myśli własną ekipę drukarską czy całą organizację poligraficzną Tygodnika?*

A.: — Całą strukturę. Nie mieliśmy już żadnych dróg ekspansji, oprócz wyjścia poza Warszawę. Były długie dyskusje na ten temat, ale doszliśmy do wniosku, że nie, że nie będziemy robić *Trybuny Ludu*. I konsekwentnie odmawialiśmy firmom z prowincji, które chciały drukować *Tygodnik*.

P.: — *A nie chcieliście zwiększać własnej produkcji?*

A.: — Doktrynalnie się temu sprzeciwiałem. Uważałem, że 10 tysięcy to jest górny pułap bezpieczeństwa dla jednej nitki. Współpracowałem z dwoma drukarzami, w ogóle starałem się minimalizować liczbę osób.

P.: — *I mimo to zaczęłeś drukować książki?*

A.: — Jestem z wykształcenia inżynierem i lubię się wykazać, wyżyć w sprawach technicznych. Mówią o mnie „patenciarz” i to jest chyba prawda. Mój pierwszy wynalazek, drukowanie na sicie, okazał się bardzo płodny dla opozycji nie tylko w Polsce. Oparcie na składopisie technologii produkcji wielkonakładowego

pisma podziemnego, jakim jest *Tygodnik*, uważam także za swój patent. Dlatego ta tygodniowa freblówka mi nie odpowiadała. Nie chciałem być facetem do mechanicznej roboty. W końcu przypilnować, żeby łączniczka wsiadła z matrycami do samochodu albo żeby kartki na benzynę były na czas może każdy. Moja ekipa poligraficzna też była sfrustrowana. Wokół konkurencja robiła książki, na których drukarze zarabiają i zyskują prestiż. Wszystko razem złożyło się na pomysł uruchomienia wydawnictwa, które nazwaliśmy „Feniks”.

P.: — *Pięknie wydawane książki w brązowych okładkach.*

A.: — Zaczęliśmy od zbioru homilii Papieża z pielgrzymki '83 roku. Już ta książka wywołała konflikt z redakcją.

P.: — *Chodziło o bhp?*

A.: — Myślicie, że konflikt był o przekroczenie zasad bhp i narażenie produkcji *Tygodnika*? Nie sądzę, na pewno nie. Konflikt był o to, czy ja jestem autonomiczny, czy dyspozycyjny. Stałem na stanowisku, że nie potrzebuję błogosławieństwa redakcji, że podlegam Regionowi.

P.: — *Identyfikowałeś się bardziej z Regionem niż z Tygodnikiem?*

A.: — Uważałem, że podlegam Regionowi Mazowsze, który wydaje *Tygodnik Mazowsze*. Pytacie o identyfikację. Identyfikuję się ze sobą. Wyniosłem doświadczenia z działalności przedsierniowej, kiedy organizacje służyły ludziom. Dbaliśmy, by czuć się w nich dobrze i zostać sobą.

P.: — *Czego chciała od Ciebie redakcja?*

A.: — Żeby nie robił niczego poza *Tygodnikiem*.

P.: — *Jak przebiegał konflikt?*

A.: — W zasadzie nie warto mówić. Udział miały różnice charakterów, prywatne animozje. Dla książki o *Tygodniku Mazowsze* to bez znaczenia. Oczywiście mogłem się obrazić i odejść z dnia na dzień, rzucić to w cholerę. Strasznie bym zaszkodził. Ale uważałem, dziś może bym myślał inaczej, że nie wolno mi tego zrobić. W każdym razie już od 70-któregoś *Tygodnika* przygo-

towywałem następców do prowadzenia firmy. Ostatni mój *Tygodnik Mazowsze* miał numer 100.

P.: — *Dlaczego przekazywanie firmy trwało tak długo?*

A.: — Moi następcy mieli na początku więcej chęci niż umiejętności. Poza tym razem ze mną odeszło kilka osób. Nikogo nie namawiałem, żeby rzucił *Tygodnik*, zadziałała lojalność. Znalezienie nowych drukarzy, łączniczki, gospodarzy skrzynek zajęło sporo czasu.

P.: — *Nie żałujesz, że odszedłeś?*

A.: — *Tygodnik Mazowsze* był niezłym pismem, ale nie żałuję. *Tygodnik* — jak cała podziemna prasa — jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Stoi przed wyborem: być pismem informacyjnym czy stać się politycznym. Póki co, traci resztki ideowego oblicza, czyta się go już jak *Przekrój* w niedzielę. Żeby ożywić *Tygodnik Mazowsze* i przywrócić mu znaczenie, trzeba by przekształcić tę gazetę w polityczne pismo z prawdziwego zdarzenia. Taka zmiana nie jest jednak możliwa bez upolitycznienia się całej „Solidarności”. I tu dochodzimy do paradoksu. Dzisiaj uprawianie polityki w podziemiu nie ma już sensu: brakuje armat. „Solidarność” jest zbyt słaba, by stać się siłą polityczną. Klasa robotnicza, na której opierał się ruch, spełniła już swoją rolę, wykazując władzy jej brak legitymacji do rządzenia.

Aktywność polityczna będzie coraz bardziej wychodziła na powierzchnię, a znaczenie konspiracji będzie malało. Moim zdaniem, największą rolę mają do odegrania elity, środowiska opiniotwórcze, które są w stanie działać na styku władza — społeczeństwo.

P.: — *Uważasz, że taki styk istnieje?*

A.: — Nie wiem. Wiem tyle, że przygoda z konspiracją powoli się kończy. Mówimy często o kryzysie władzy, ale my też przeżywamy kryzys. Kryzys idei, jaki ogarnął środowisko opozycyjne, jest tym bardziej widoczny, że rozwój naszych możliwości technicznych poszedł bardzo daleko. Dzisiaj możemy bez kłopotu wydrukować i rzucić na miasto 50 tysięcy ulotek, ale nie wiemy, co na nich napisać.

Lipiec 1987

„JAK NA KOLPORTAŻ I TAK DŁUGO”

MICHAŁ, SZEFEK KOLPORTAŻU
OD MAJA 1982 DO PAŹDZIERNIKA 1985

PYTANIE: — *Czy to Ty zorganizowałeś kolportaż Tygodnika Mazowsze?*

MICHAŁ: — Nie, pierwszym szefem kolportażu, chyba do trzydziestego numeru, był niejaki Rozyna.

P.: — *Mam nadzieję, że to pseudonim?*

M.: — Tak. On się nazywa Paweł Bąkowski...

P.: — *Właśnie, broń Boże...*

M.: — Jest teraz w Ameryce.

P.: — *To już lepiej.*

M.: — Udziela wywiadów w Głosie Ameryki.

P.: — *Aha. W jaki sposób zostałeś zwerbowany przez tego...*

M.: — Rozynę. Tak jak pies z „Mistrza i Małgorzaty”. Wciągnął mnie w maju '82, miałem mu pomagać w zarządzaniu kolportażem i jednocześnie wykonywać pierwszy etap rozpowszechnienia — odbierałem wydrukowany *Tygodnik* i dostarczałem go do skrzynek dzielnicowych. Rozynie przychodziły do głowy zupełnie dziwne pomysły. Przez kilka miesięcy, kiedy drukarnia *Tygodnika Mazowsze* była pod Warszawą, umawiał się ze mną przed odbiorem *Tygodnika* w samym środku Puszczy Kampinoskiej. Było takie słynne mrowisko...

P.: — *Mrowisko?*

M.: — Dołek przy mrowisku. Szło się ścieżką przez las, Rozyna nie było widać, dopiero jak się stanęło nad tym dołkiem, to można było zobaczyć, że leży w nim i czeka. To była naprawdę barwna postać, tyle że z lekką manią prześladowczą. Potem uznał dołek za spalony i zaczął wyznaczać spotkania w innych miejscach

puszczy. Rysował na planie punkcik, a gdy w końcu odnajdywałem to miejsce, zjawiał się przebrany za jakiegoś dziadka z laską i opowiadał, jak go ganił poprzedniego dnia helikopterem, a on wpadał do jakiegoś mieszkania, bo już nie miał odwrotu, mówił: Jestem z „Solidarności” i ściga mnie policja. Gospodarz zamykał drzwi na zasuwę i za telefon, więc Rozyna wyskakiwał przez okno, ale dalej go gonili czołgiem... W końcu doszedł do wniosku, że policja wszystko wie i wyjechał. A ja zostałem i tak woziłem ładnych parę lat.

Opowiem wam, jak to wyglądało strukturalnie. Było pięć skrzynek dzielnicowych, które brały po 2-4 tysiące, z tym że z Pragi na ogół mniej. Pod każdą skrzynką była grupa trzech kolporterów, którzy rozprowadzali w danej dzielnicy. Określonego dnia, o określonej godzinie czekali na skrzynce dzielnicowej na *Tygodnik*. Jeżeli dotarł i był wydrukowany tak, że można go było przeczytać, to pakowali w mniejsze paczki i nieśli tam, gdzie ktoś na nich czekał, a przynajmniej powinien czekać. Na początku poligrafia wpuszczała nam w kolportaż także książki. Mieli jakieś Jaspersy sprzed 13 grudnia i my nosiliśmy tego Jaspersa ludziom, którzy mimo wszystko go kupowali. Były też jakieś Staliny. Cały czas mówię o kolportażu pod *Tygodnikiem*.

P.: — *Nie rozumiem.*

M.: — Nasz kolportaż obsługuje własną poligrafię *Tygodnika*. Inne firmy drukujące *Tygodnik Mazowski* mają swoje siatki kolportażu. Kiedy zaczynałem pracę, znaczna część nakładu, równe 18 tysięcy, była produkowana w drukarni *Tygodnika Mazowskiego*. Na jednym offsecie, który syczał, kiedy się na niego splunęło.

P.: — *Więc Ty dostarczałeś Tygodnik grupom dzielnicowym...*

M.: — Potem musiałem się spotkać z każdą grupą, żeby zebrać informacje, ile trzeba wrzucić następnym razem. Bo ktoś już nie chciał brać w ciemno, a gdzie indziej chcieli więcej. I tak to szło, nie bez oporów. Miałem na przykład słaby kontakt z szefem poligrafii, często nie mogłem go złapać, dowiedzieć się, kiedy *Tygodnik Mazowski* będzie i skąd go odebrać. Ale na szczęście pełniłem dodatkowo rolę damy do towarzystwa dla jednego ukrywającego się drukarza, który się nudził i czasami chciał napić się wódki. Więc ja się z nim umawiałem i miałem informacje z pierwszej ręki.

P.: — *Ile osób zatrudniał wtedy kolportaż?*

M.: — W dzielnicowych grupach pracowało łącznie jakieś 10-15 osób. A dalej, na niższych szczeblach, to oczywiście nie sposób powiedzieć.

P.: — *Do jakich środowisk trafiał Tygodnik Mazowsze? Czy krąg odbiorców się zmieniał?*

M.: — Na początku fabryki brały mniej więcej tyle, co punkty inteligenckie. Ursus miał pięć skrzynek, a ciągle ktoś stamtąd przychodził i mówił, że jest za mało. Te wszystkie Róże Luksemburg, Świerczewskie, Waryńskie dostawały spore ilości. Ale potem zamówienia z zakładów malały, natomiast z instytutów naukowych, uczelni i biur utrzymywały się na tym samym poziomie. Punkty inteligenckie były też bardziej aktywne, można było od nich wyciągnąć konkretne usługi — ludzi do pracy, mieszkania, samochody.

Tak naprawdę nie wiedzieliśmy jednak dokładnie, do kogo trafiał *Tygodnik Mazowsze*, choć cały czas podejmowaliśmy próby kontroli, żądaliśmy, by punkty dzielnicowe spisywały nazwy zakładów, które od nich odbierały. Miało to także służyć eliminowaniu maniaków, którzy brali duże ilości, by pokazać jaką są prężną grupą, a potem dowiadrywaliśmy się, że znaleziono tysiąc *Tygodników* na śmietniku albo że na poczcie ktoś podłożył 500.

P.: — *W jaki sposób rozwoziliście Tygodnik?*

M.: — Swego czasu istniała przy *Tygodniku Mazowsze* podziemna firma transportowa. Można było zamówić u nich samochód z kierowcą. Poza usługami dla kolportażu zajmowali się też rzucaniem ludzi z *Tygodnika Mazowsze* do lokali redakcyjnych i na spotkania z ukrywającymi się działaczami. Niestety, ta firma nie zawsze była niezawodna. Zdarzało się, że ktoś czekał z kilkoma ryzami *Tygodnika*, a samochód nie przyjeżdżał. Duża część kolportażu do dziś obywa się bez samochodów — mają więcej roboty, ale mniej kłopotów.

Był czas, kiedy kolportaż rozwoził *Tygodnik Mazowsze* w wielkich, specjalnie zrobionych, głośnikowych kolumnach. Ważyły chyba sto kilo, ale miały tę zaletę, że policja musiałaby odkręcić ze dwadzieścia śrub, by dostać się do środka. Ryzy spinaliśmy pasami, żeby nie bulgotały przy potrząsaniu. Potem przerzuciliśmy się na torby namiotowe, które wypuściło Legionowo. Były bardzo wygodne, wchodziło do nich pionowo 10 ryz. Błyskawicznie zniknęły ze sklepów, ale policja równie szybko

zorientowała się, po co zostały wykupione. Używaliśmy też pokrowców do składanych rowerów.

P.: — *Ale najpierw Tygodnik trzeba było rozwieźć na skrzynki dzielnicowe. Powiedziałeś, że robiłeś to sam. Musiałeś więc przetransportować około 60 ryz.*

M.: — Takiej ilości już nie sposób było zamaskować. Pakowałem na wcisk, przykrywałem kocem. Samochód siedział na kołach. Poza skrzynkami dzielnicowymi wrzucałem też na priorytetową skrzynkę redakcyjną, z którą zresztą zawsze kolportaż miał najwięcej kłopotów — bardzo często w godzinach rozwózki nikogo tam nie było. Jeden człowiek przesiedział się nawet trzy miesiące, bo odbił się od drzwi i został z *Tygodnikiem*. Dwa dni później policja go przy nim znalazła. Mam dużą awersję do skrzynek redakcyjnych.

P.: — *Czy mieliście inne wpadki?*

M.: — Jeszcze jedną, co nie jest złym wynikiem, jak na kilka lat wożenia. Policja weszła do punktu dzielnicowego, gdzie 4 tysiące *Tygodnika Mazowsze* czekało na kolportaż. Zrobili przez kilka dni kocioł i łapali sześć osób — cztery poszły na 48, dwie siedziały. Na szczęście nie było z tego wyroków, wyszły z amnestii. Później się okazało, że w tym mieszkaniu ukrywało się wcześniej co najmniej pięciu związkowych prominentów i jakieś sto osób mogło mieć adres w notesie.

P.: — *Jakie są zasady „bezpieczeństwa i higieny pracy” w kolportażu?*

M.: — Jakże są czy jakie powinny być? Jeden kolporter powinien obsługiwać nie 10 czy 20 punktów ale 3-4, by w przypadku ogona prowadzić za sobą policję w jak najmniej miejsc. Nie wolno korzystać z telefonów. Gospodarze skrzynek powinni być solidni i niezaangażowani w inną podziemną robotę. Jeżeli te warunki są spełnione, to prawdopodobieństwo, że kolporter wpadnie jest bliskie zera.

P.: — *Podobno w Tygodniku odbywały się kiedyś szkolenia bhp?*

M.: — Nie podejrzewam, by ktokolwiek z kolportażu był na tym.

P.: — *Dlaczego?*

M.: — Nikt nas specjalnie nie namawiał, my się specjalnie nie paliliśmy. Teoria kolportażu mało nas interesuje. Nie mielibyśmy zresztą czasu na dodatkowe zajęcia.

P.: — *Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, zarówno w redakcji jak i poligrafii, mówią o ciągłym braku czasu.*

M.: — Przez pierwszy rok pracowałem we wszystkie dni tygodnia. W kółko siedziałem na jakichś zebraniach albo jeździłem z *Tygodnikiem*. Potem się sprofesjonalizowaliśmy i miałem trochę mniej roboty. Niby prowadziłem normalne życie: ożeniłem się, skończyłem studia. Ale mam duże zastrzeżenia do jakości mojego studiowania i teraz muszę wszystko nadrabiać, z wiadomościami jest cieniutko.

P.: — *Czy za pracę w kolportażu dostawało się pieniądze?*

M.: — W listopadzie '83 przyznano mi pół etatu. Inni kolporterzy przez cztery lata pracowali społecznie, dopiero gdy *Tygodnik Mazowski* zaczął być płatny, dostali procent od obrotów.

P.: — *Kiedy odszedłeś z Tygodnika?*

M.: — W momencie wprowadzenia ceny za egzemplarz, czyli w październiku '85. Jak na kolportaż pracowałem i tak długo. Podstawowa piętnastka kolporterów *Tygodnika Mazowskiego* zmieniła się w czasie trzech lat mojej pracy dwa, trzy razy. Z pierwszej ekipy, z którą zaczynałem, po krótkim czasie nie został nikt.

P.: — *Dlaczego zrezygnowałeś?*

M.: — Odstraszyło mnie wprowadzenie płatności. W tym czasie własna poligrafia *Tygodnika* składała się już z kilku ekip drukarskich i bardzo często się zdarzało, że któraś z nich nawalała, miała poślizg albo drukowała nieczytelnie. Miałem już dosyć patrzenia ludziom w oczy i tłumaczenia, dlaczego nie dostają albo dlaczego dostają jakiś chłam. A jeszcze im kazać płacić? Nie, nie chciałem tego robić dłużej.

Moja rola polegała i na tym, żeby wysłuchiwać i dopieszczać gospodarzy skrzyniek. Byli tacy, którzy zanudzali na śmierć. Mówili godzinami, jaki wspaniały jest nasz ruch, a ja musiałem szczerzyć zęby, by nie stracić lokalu. Z drugiej strony dzięki tej pracy poznałem mnóstwo ciekawych ludzi. Na punktach kolpor-

tażowych spotykałem działaczy robotniczych i nieodmiennie okazywało się, że oni po pierwsze — przewodniczą Komisjom Zakładowym, po drugie — kolportują *Tygodnik Mazowsze*, po trzecie — pędzą bimber w domu, po czwarte — znają Henia Wujca, po piąte — w wolnych chwilach chodzą po osiedlu i rozrzucają lub nalepiają ulotki.

Ale od tej barwności nie było daleko do czegoś nienormalnego, co zacząłem zauważać zwłaszcza u ludzi, u których były drukarnie. Zresztą wyobraźcie sobie kogoś, kto daje mieszkanie na offset i komu nie przeszkadza, że tydzień w tydzień dwóch umorusanych facetów kręci mu się po po domu i drukuje. To przecież nie może być normalny człowiek. Kiedyś przychodzę do gospodarza, który dał mieszkanie na produkcję, a on ciągnie mnie do piwnicy i pokazuje tokarkę *samozdietkę* i prawie gotowy karabin. Zacząłem się łapać na tym, że tęsknię za normalnymi ludźmi, normalnym życiem.

P.: — *Gdy tego wszystkiego słucham, wydaje mi się, że kolportaż jest niewdzięcznym zajęciem.*

M.: — Bo to jest niewdzięczne zajęcie. Ale kiedy wszystkie drukarnie zrobią *Tygodnik* na czas, wszyscy kolporterzy przyjdą do pracy i rozwiną, a na dodatek na wszystkich skrzynkach ludzie będą czekać, to jest bardzo sympatycznie. Poza tym satysfakcję daje też bezpośredni kontakt z czytelnikami. Kolporter widzi, jak bardzo czekają na *Tygodnik Mazowsze*, nawet kiedy jest gorzej wydrukowany nie zawsze narzekają.

P.: — *Jakie były stosunki między kolportażem a redakcją?*

M.: — W zasadzie żadne. Przekazywaliśmy wpłaty, gazetki, listy, to wszystko.

P.: — *Nie miałeś więc żadnego wpływu na kształt pisma. Czy nie buntowałeś się przeciwko temu?*

M.: — Nie, bo to nie była zła gazeta, w dodatku pracowałem w *Tygodniku Mazowsze* w jego najlepszym okresie. Czytam *Tygodnik* regularnie i widzę, jak się ostatnio popsuł. Stał się nudny i nabzdyczony, zbyt „solidarnościowo-słuszny”. Numer w numer dają duże opracowania typu „co robić?”, ciągle ta sama ekipa mędrkuje. Może i mają rację, ale to się robi niestrawne.

„NASZA KOCHANA PANI THATCHER”

JOANNA, SZEFEK KOLPORTAŻU OD LISTOPADA 1985

PYTANIE: — *Do Tygodnika przyszedł późno.*

JOANNA: — W listopadzie '85. Wcześniej działałam troszkę w grupach ekspertów, od początku wojny. Ale że inteligencją specjalnie nie grzeszę, zaczęłam szukać czegoś, co potrafiłabym robić.

P.: — *I trafiłaś do kolportażu Tygodnika Mazowsze.*

J.: — Trafiłam, bo się zgłosiłam. Do mojego oficjalnego miejsca pracy *Tygodnik* docierał coraz gorzej. Spytałam, co się dzieje i dowiedziałam się, że są kłopoty w kolportażu.

P.: — *Jakie kłopoty?*

J.: — Brakowało szefa. Kolportaż organizował się sam, na zasadzie — wszyscy po trochu. Były w kolportażu ze trzy osoby, które mogły zostać szefami, ale wołały nie.

P.: — *Dlaczego?*

J.: — Bo to niewdzięczna funkcja. Na szefa wszyscy krzyczą: kolporterzy, że *Tygodnik* się spóźnił, redakcja, że ważni ludzie go nie dostali, a sami czytelnicy, że jest zły jakości. W dodatku szef też musi nakrzyczeć na poligrafię, gdy coś źle zrobią.

P.: — *Przyszedł z zewnątrz...*

J.: — Bardzo się w redakcji obawialiśmy, jak kolporterzy zareagują na kierownika przyniesionego w teczce. Na szczęście okazało się, że dwóch pracowników kolportażu znam, jednego przelotnie ze skrzynki, drugiego prywatnie od wielu lat. Na początku patrzyłam i nie wtrącałam się. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, było przywrócenie podziału na grupy dzielnicowe, bo to się w okresie bezkrólewia zatarło. Teraz mamy trzy takie grupy, każda obsługuje od czterech do ośmiu skrzynek. Udało się to tak zorganizować, że punkty, na które się nosi, są blisko skrzynek dzielnicowych, co pozwala nie używać samochodów. Jak się chodzi, to

w razie zagrożenia można coś ze sobą zrobić, w samochodzie jest się zupełnie bezbronnym.

P.: — *Ile osób pracuje w takiej grupie dzielnicowej?*

J.: — To zależy, na ile skrzynek muszą nosić. Jeżeli jest ich nie więcej niż 5, wystarczają dwie osoby. Przy większej liczbie skrzynek osób robi się cztery.

P.: — *A nie trzy?*

J.: — Nie, bo mamy jeszcze i taką regułę bhp, że kolporterzy chodzą dwójkami. Jedna osoba wchodzi do mieszkania „na czysto”, druga na zewnątrz czeka z bibułą na znak, że wszystko w porządku. Jeżeli, odpukuję w niemalowane drzewo, coś się stanie, wpada ta czysta osoba, a druga może zawiadomić mnie.

P.: — *Z tego co mówisz wynika, że masz pewną filozofię kolportażu.*

J.: — Podstawową zasadą jest stałość kontaktów: kolporter — gospodarz skrzynki, kolporter — drukarz. Uważam, że przychodzenie do skrzynki stale tej samej osoby mniej się rzuca w oczy, niż pętanie się różnych ludzi. Taki system stwarza też szansę zaprzyjaźnienia się, rodzą się więzi, na których przecież to wszystko się opiera. Po drugie, uważam, że każda grupa dzielnicowa powinna mieć własnego drukarza. Wtedy drukarz dobrze pracuje, jest mu głupio coś spieprzyć, bo wie, że zobaczy tego samego kolportera za tydzień, za dwa tygodnie, za trzy. Każda z moich grup powinna też mieć swojego szefa-skarbnika, który podejmuje bieżące decyzje, zbiera pieniądze i rozlicza się ze mną. To jest ideał, do którego dążę.

P.: — *Jakim jesteś szefem?*

J.: — Nazywają mnie „nasza kochana pani Thatcher”. Przypadkiem się o tym dowiedziałam, od jednego z gospodarzy, ale wybaczyłam. Skoro dodają „nasza kochana”.

P.: — *Jeśli się nie mylę, kolportujecie tylko produkcję własnej poligrafii Tygodnika.*

J.: — Tak było kiedyś. Teraz rozprowadzamy również produkcję niektórych kontrahentów, razem od 8 do 15 tysięcy. Na przykład w tym tygodniu było 9, w następnym będzie 11.

P.: — *Czy wszystkie duże zakłady w Warszawie biorą Tygodnik?*

J.: — Przypominam wam, że kolportujemy tylko niewielką część nakładu *Tygodnika Mazowsze*. Z naszej siatki korzystają trzy duże zakłady, w tym jeden podwarszawski.

P.: — *Wśród kogo Tygodnik się rozchodzi?*

J.: — Odwiedziłam kiedyś wszystkie skrzynki i pytałam o to samo. Kto odbiera? Wnioski: 60 %, jeśli nie więcej — inteligencja. Uczelnie, instytuty naukowe, biura projektowe, nauczycielstwo, służby zdrowia. 30 % robotnicy. I to rzeczywiście robotnicy, a nie inteligencja techniczna. Reszta rozchodzi się jakoś bokiem.

Bardzo niewielu odbiorców się wycofuje. Są fluktuacje ilościowe, ale nieznaczne. Po wprowadzeniu płatności w naszym kolportażu zamówienia na *Tygodnik* zmniejszyły się minimalnie, z 11 do 10 tysięcy. O stałym popycie świadczy fakt, że kiedy jakiś warszawski kontrahent robi przerwę w druku *Tygodnika*, to u nas ilość zamówień wzrasta.

P.: — *Jak szybko egzemplarz Tygodnika Mazowsze trafia do czytelnika?*

J.: — Druk, dostarczenie *Tygodnika Mazowsze* do punktów dzielnicowych i nasza rozwózka po skrzynkach zajmują łącznie cztery dni. Piątego dnia przychodzą ludzie, żeby go odebrać, a jeżeli jest już po godzinach pracy, to *Tygodnik Mazowsze* dociera do czytelników na szósty dzień.

Jeszcze wolniejsze są tak zwane skrzynki zagraniczne, czyli pozawarszawskie. Na przykład kolejarze ze Śląska przyjeżdżają raz na dwa tygodnie.

P.: — *Czy udało Wam się uniknąć wpadek?*

J.: — Dzięki temu, że większość naszych kolporterów pracuje w podziemiu bardzo długo, nie mieliśmy — co jest wyjątkiem — żadnej wpadki. Są wśród nas ludzie szalenie wyczuleni, z takim szóstym zmysłem antypolicyjnym, ale jest też kilka osób, które uważam za ogromnie nieostrożne. Na przykład pewien starszy pan. On jednak nie rzuca się w oczy, jest elegancki, delikatny i musiałby chyba rozsypać wszystko przed komendą, żeby się nim policja zainteresowała. Myślę też, że mamy kolosalne szczęście. Kiedyś dowiedziałam się przypadkiem, że w jednej z naszych skrzynek jest punkt lekarski Prymasowskiego Komitetu Pomocy,

a oprócz tego lubi przesiadywać w tym mieszkaniu matka Zbyszka Bujaka. Oczywiście więcej nikt tam niczego nie nosił.

P.: — *Podobno w Tygodniku odbywało się szkolenie bhp?*

J.: — Nie poszłam na nie.

P.: — *Szkolne widmo...*

J.: — Posłałam część swoich ludzi, ale oni już pracują w tej branży tyle czasu, że się tylko wynudzili. Przydałby się natomiast kurs bhp dla niektórych kontrahentów naszej poligrafii. Zwłaszcza dla tych, którzy zawsze starannie piszą na paczkach, na przykład: „TM 198, str. 1”, żeby milicjant nie miał wątpliwości, jeżeli otworzy torbę.

P.: — *Powiedz kilka słów o kolporterach.*

J.: — Studentka. Samotna matka. Dwa małżeństwa z dorosłymi dziećmi, które pracują rodzinnie. Bardzo różni ludzie, ale wszyscy z inteligencji.

P.: — *Czy kolporterzy są opłacani?*

J.: — Właściwie nie. Dostają drobny procent od rozprowadzonego *Tygodnika Mazowsze*, ale te pieniądze starczą tylko na pokrycie wydatków. Trzeba czasem kupić kwiatki albo książkę dla skrzynki, w awaryjnej sytuacji wziąć taksówkę.

P.: — *Ile ta praca zajmuje czasu?*

J.: — Cztery, pięć godzin jednego dnia w tygodniu. Przychodzą do skrzynki, liczą, pakują, zawożą.

P.: — *A Twój bilans?*

J.: — Zależy od tego, czy są kłopoty. W najgorszych okresach jest tylko jeden dzień w tygodniu, kiedy mam wolne.

P.: — *Kolportaż to chyba niezbyt satysfakcjonujące zajęcie?*

J.: — Nie, dlaczego?

P.: — *Kolporter nie pracuje w grupie, niczego nie wytwarza. Bierze tylko tę siatkę i niesie.*

J.: — Nieprawda. Jesteśmy zgraną grupą, nie mamy w tej pracy poczucia izolacji. Zwłaszcza, że kolporter ma bliski kontakt z

odbiorcą. Zaprzyjaźniamy się z gospodarzami. Jeżeli ktoś z nas — jak oni mówią — donosiciel — przez tydzień się nie zjawia, martwią się, dopytują, szukają. Dostajemy prezenty gwiazdkowe, po prostu widać, że im zależy na piśmie. To są dla nas dowody, że jesteśmy potrzebni.

Ja, dodatkowo, jestem bardzo blisko związana z poligrafią, co zresztą na ogólnym zebraniu *Tygodnika Mazowsze* zostało mi niedawno w ostrej formie wypomniane. Ktoś z redakcji wrzeszczał, że przyszedłam na szefa kolportażu nie po to, żeby się zaprzyjaźniać z drukarzami.

P.: — *Chodziło o zasady bhp?*

J.: — Nie. O to, że mam stać nad poligrafią, pilnować i krzyzczyć. Powiedziałam, że trudno, abyśmy byli tylko w służbowym kontakcie, skoro musimy się spotykać co najmniej cztery razy w tygodniu.

Ta praca bywa niewdzięczna, gdy *Tygodnik Mazowsze* został zrobiony źle albo nieterminowo — jesteśmy wtedy odbiorcami zażaleń. Pamiętam kilka ostrych rozmów, głównie z zakładami pracy, z robotnikami, którzy nie przebiegali w słowach, a ja krzyczałam, że to nie *Życie Warszawy* i po prostu może się zdarzyć, że nie dostarczymy pisma.

P.: — *Jesteś chyba jedyną osobą, która wie, jak czytelnicy oceniają Tygodnik Mazowsze.*

J.: — Trudno mi wiedzieć, bo *Tygodnik* biorą ludzie, którzy są jego zwolennikami. Nasza sytuacja jest komfortowa, nikomu nie musimy wpychać na siłę, nawet reklama nie jest potrzebna.

Jaka jest wartość merytoryczna *Tygodnika*? Nie obrażając nikogo powiedziałabym, że największe znaczenie ma fakt, że *Tygodnik Mazowsze* jest. To było bardzo widoczne po wpadce Zbyszka Bujaka. Gdy kolporterzy roznieśli *Tygodnik*, na wszystkich skrzynkach ludzie mówili: „Jak to dobrze, żeście przyszli, a już myśleliśmy, że nie będzie”. Im dłużej *Tygodnik* wychodzi, tym się robi ważniejszy, bo zostaje jedną z niewielu rzeczy, których można się realnie trzymać.

Ostatnio byłam świadkiem rozmowy ludzi, którzy widocznie dowiedzieli się, że powstaje książka o *Tygodniku*. Ktoś powiedział: „Pisz sobie laurkę”, a drugi na to: „A nie zasłużyli?”.

Kwiecień 1987

SPIS RZECZY

WYWIADY „PROMIENISTYCH”

<i>Od Autorów</i>	9
<i>Zbyszek — Rozmowa ze Zbigniewem Bujakiem</i>	11
<i>Trzydzieści minut na godzinę — Rozmowa z Jackiem Fedorowiczem</i>	21
<i>Kopciuszek — Rozmowa z Ewą Kulik</i>	26
<i>Zawodowy rewolucjonista? — Rozmowa z Jackiem Kuroniem</i>	41
<i>O wolności pisarza — Rozmowa z Markiem Nowakowskim</i>	60
<i>„KOR” to był sposób na życie — Rozmowa ze Zbigniewem Romaszewskim</i>	71
<i>Homo cracoviensis — Z Krystianem Waksmundzkim, współzałożycielem Polskiego Klubu Ekologicznego, o sytuacji ekologicznej Krakowa</i>	79

WYWIADY Z TWÓRCAMI I KIEROWNIKAMI POLIGRAFII „TYGODNIKA MAZOWSZE”

<i>„Na karku trzecia setka” — „Tygodnik Mazowsze” odpowiada na pytania „Promienistych”</i>	91
<i>„Rozsądne pięćdziesiąt tysięcy” — Jacek i Karol, szefowie poligrafii od października 1984</i>	95
<i>„Przygoda z konspiracją powoli się kończy” — Andrzej, szef poligrafii od grudnia 1981 do października 1984</i>	106
<i>„Jak na kolportaż i tak za długo” — Michał, szef kolportażu od maja 1982 do października 1985</i>	114
<i>„Nasza kochana pani Thatcher” — Joanna, szef kolportażu od listopada 1985</i>	120
	125

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 22 MAI 1989
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 2^e trim. 1989.

N° d'imprimeur 9637.







